Nr. 7. Poznań, dnia 14 lutego 1909 r. Rok XIII.

Abonament
wynosi kwartalnie
na poczcie. . . 1,50
z odnoszeniem
do domu . . 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97.
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Potrzeby górników.



Z początkiem b. m. odbyły się w Berlinie dwudniowe obrady reprezentantów pracującego górnictwa niemieckiego: kongres górników, w którym uczestniczyli także reprezentanci górnictwa polskiego, a który niestety ani w społeczeństwie polskiem ani ze strony oficyalnych jego politycznych przedstawicieli nie znalazł takiego zainteresowania, na jakie ze wszech miar zasługiwał.

Mnogie tysiące naszych braci pracują w kopalniach niemieckich bądź na Śląsku, bądź w Saksonii, bądź w Nadrenii. Te olbrzymie masy pracujących w najtrudniejszych warunkach ludzi mają prawo liczyć na pomoc i sympatyę społeczeństwa, mają prawo wymagać, by publiczność, korzystająca z plonu ich wielkich codziennych wysiłków, ich walk, odgrywających się głęboko pod powierzchnią ziemi z przemożnemi siłami nielitośnej przyrody, współczuła z ich położeniem i moralnie poparła ich starania, skierowane ku osiągnięciu przynajmniej skuteczniejszego zabezpieczenia ich zdrowia i życia przed niebezpieczeństwami, w jakie obfituje ich zawód niewdzięczny. To bowiem stanowiło główny punkt obrad kongresu, zwołanego pod wrażeniem straszliwego nieszczęścia w Radbod, którego przerażające szczegóły jeszcze żyją w pamięci wszystkich. To też statystykę nieszczęśliwych wypadków, zdarzających się w przemyśle kopalnianym, wypracował zarząd związku górników na ten kongres, a szczegóły zawarte w tej książeczce tak donośnym przemawiają głosem, że spodziewać się należy, iż nareszcie poruszą sumienia ustawodawców i rządu i uczynią te miarodajne czynniki ustępliwszemi wobec uzasadnionych żądań, rozbrzmiewających oddawna tak w prasie, jak z mównic sal kongresowych i w parlamentach.

Roku 1907 — czytamy w tej książeczce — poniosło śmierć w Niemczech 1743 ludzi zajętych w górnictwie na skutek nieszczęśliwych wypadków. Z tej sumy 253 górników zginęło z powodu trzech masowych nieszczęść, reszta padła ofiarą owych drobnych wypadków, zachodzących przy pracy na kopalniach, o których wieść nawet nie przenika do wiadomości szerszych kół publicznych. W biegu ostatnich 22 lat 23 871 górników poniosło śmierć przy wykonywaniu swego zawodu, 110 656 górników odniosło w tym przeciągu czasu ciężkie obrażenia cielesne. Są to przerażające liczby tych ofiar zawodu. I śmiało można twierdzić, że—pomijając masowe nieszczęścia—poszczególne wypadki śmierci lub okaleczenia górnika przechodzą prawie bez wrażenia. Porównajmy tylko to, co piszą gazety, gdy np. jaki lekarz padnie ofiarą swego zawodu, z tem, co czytamy w doniesieniach o śmierci biednego górnika. Tam długie artykuły — tu krótkie wzmianki: obfitość tych wypadków prawie że odebrała im wszelkie znamiona okropności. A jednak zginął człowiek, żywiciel licznej często i ubogiej rodziny, lub jedyna podpora starych rodziców... Myślałby kto, że nieszczęśliwe wypadki mnożą się w prostym stosunku do wzrostu liczby robotników. Już, gdyby tak było — źle by było, gdyż postęp w dziedzinie techniki, który się także uwydatnia w ulepszeniu urządzeń bezpieczeństwa w kopalniach, powinien przyczynić się do zmniejszenia ogólnej liczby nieszczęśliwych wypadków — jednakże sprawa ma się gorzej: obecnie stosunkowo więcej ludzi ginie w kopalniach niż przed laty 60 np. Wtedy bowiem ponosiło śmierć na skutek nieszczęścia z 1000 górników tylko 1,7 procent — podczas gdy obecnie liczba ta wynosi 2,4. Dzieje się to niestety tylko w „kulturalnych" Prusach, w Belgii bowiem i Anglii liczby odnośne znacznie są niższe, wynoszące w pierwszem państwie 1 na 1000, w drugiem 1.3 na 1000.

Ale nietylko wskutek nieszczęśliwych wypadków śmierć czyni straszne spustoszenia w szeregach górników. Czyni ona rokrocznie wielkie żniwo pomiędzy górnikami, zabierając ogromny procent ludzi młodych, lecz wycieńczonych nadmierną i wysoce niezdrową pracą zawodową. Tak np. w r. 1896 umarło z pomiędzy członków knapszaftu górniczego 39 procent górników, którzy nie rozpoczęli jeszcze 36 roku życia. Obecnie i ta cyfra potworna się pogorszyła, gdyż wykazuje 46 procent. Jeżeli dodamy do tego, że przeciętnie górnik według wykazów statystycznych z 41 rokiem życia jest zupełnym inwalidą, pojmiemy, że należy poruszyć wszystkie sprężyny, by przeciwdziałać niebezpieczeństwom wynikającym z pracy górników i o ile możności ulżyć ich losowi.

Powody tych rozlicznych a ciężkich niedomagań upatrywać należy w niedostatecznym kontrolowaniu urządzeń ubezpieczających w kopalniach tudzież w nadmiernie długiem trwaniu dnia roboczego. Również rozmaite szykany ze strony pracodawców (czarne listy) nie wywieszanie przepisów w języku ojczystym przyczyniają się do wzrostu liczby nieszczęśliwych wypadków, gdyż niejeden doświadczony górnik traci pracę wskutek wspomnianych szykan, jego miejsce zaś zajmuje nierzadko nieobeznany z pracą górniczą robotnik — nieznający często języka niemieckiego— a doświadczenie pokazuje, że właśnie ci ludzie stali się przyczyną a częściej ofiarą niejednego nieszczęścia.

Zatem domagać się należy koniecznie — zrobił to ostatnio w parlamencie poseł Kulerski — kontrolerów robotniczych w kopalniach, którzyby policyę bezpieczeństwa wykonywali, następnie ostrych środków przeciwko osławionym „czarnym listom“, ogłoszenia przepisów ochronnych w ojczystym języku robotników, skrócenia dnia pracy, przedewszystkiem zaś jednolitej ustawy górniczej dla całej rzeszy niemieckiej, a to z tego powodu, że od Prus żadnej gruntownej naprawy, przychylnej ludowi pracującemu, spodziewać się nie można póty, póki w trzyklasowym sejmie panuje większość konserwatywno-liberalna, udaremniająca wszelki zdrowy postęp.

Tylko uregulowanie stosunków górniczych przez ustawodawstwo rzeszy może rozwiązać sprawę tę pomyślnie. Tam bowiem są warunki po temu odpowiednie, nigdy zaś w sejmie, gdzie magnaci kopalniani rej wodzą, którym każde uszczuplenie ich praw i przywilejów wysoce jest niesympatyczne.

Oby odbyty co dopiero kongres, któremu straszne nieszczęście w Radbod ponurego tła dostarczyło, poruszył sumienia nietylko kół miarodawczych, lecz wzbudził powszechną sympatyę dla nędzy górników, oby reformy, o które od lat starają się górnicy, nareszcie w czyn obrócone zostały! Przyczynić się do tego może opinia publiczna, która w obecnych czasach potężniejszą jest, niż kiedykolwiek, a zatem większą ponosi także odpowiedzialność, jeżeli swej siły nie uwydatnia należycie.

Co za młodu w nas wsiąkło, to w nas żyje, to nie było, to jest ciągle, to jest wiecznie młode, z pod praw czasu wyjęte. *Stanisław Rossowski.*



Zebranie delegatek Tow. kobiecych.

W grodzie naszym odbył się w niedzielę zjazd delegatek polskich Towarzystw kobiecych tak z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, jako też z ościennych prowincyi.

Dotychczas łączenie się kobiet w Towarzystwa było u nas bardzo utrudnione. Nowa ustawa o stowarzyszeniach z r. 1908 rozszerzyła prawa kobiety i nie stawia im już żadnych przeszkód co do przynależności do stowarzyszeń politycznych.

Od lat wielu istnieje w Poznaniu cały szereg Towarzystw kobiet polskich.

Niektóre z tych towarzystw niemało już przysłużyły się społeczeństwu i wiele okazały sprężystości. Do bardziej znanych należą: Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt, Towarzystwo Czytelni dla kobiet, Towarzystwo „Promień“, Towarzystwo „Warta“, Stowarzyszenie personału żeńskiego w handlu i przemyśle, Wydział pań w

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

100) Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy.)

Austrya, zwana teraz monarchią Austryacko-Węgierską, dzieli się na dwie połowy, na Przedlitawię i na Zalitawię. Pierwsza (przed rzeką Litawą t. j. *właściwa Austrya* obejmuje kraje reprezentowane (zastępowane) w Radzie Państwa, druga (za rzeką Litawą) to są *kraje korony Węgierskiej.*

Każda z tych połów jest osobnem państwem mającem własny rząd; a tylko dla wspólnych spraw t. j. zagranicznych wojny i wspólnych finansów mają obie połowy wspólne ministerstwa i wspólny parlament zwany Delegacyami. Galicya należy do Przedlitawii i jak inne jej kraje wysyła swoich posłów do Rady państwa i do Delegacyi. Zasiada też w Wiedniu osobny minister dla Galicyi.

b). Polacy rządzą w Galicyi a wpływają na losy całej Austryi.

Galicya otrzymała samorząd gminny (w r. 1866/7) i według nowej organizacyi kraju przeprowadzonej przez Polaka, Agenora hr. Gołuchowskiego, pierwszego ministra austryackiego, a potem namiestnika Galicyi, podzielona została na 74 powiaty. Odtąd zaczęły się w Galicyi rządy polskie; namiestnkiem cesarskim we Lwowie został Polak, starostami powiatowymi Polacy i urzędy poczęli obejmować krajowcy. Władze krajowe są rządowe i autonomiczne. Na czele pierwszych stoi namiestnik, jego władzy podlegają starostowie powiatowi, tym zaś zwierzchność gminna w t. zw. „poruczonym zakresie działania.“ Władze autonomiczne podlegają *Sejmowi krajowemu,* który zwoływany bywa co roku, a ma zakres władzy prawodawczy, administracyjny i nadzorujący. Sejm zaś wybiera ze swego grona urzędujący stale *Wydział krajowy.* Obydwom podlegają Rady powiatowe, a tym zwierzchności gminne i t. zw. obszary dworskie. Według rozporządzenia cesarskiego z roku 1869 w krajowych sądach i urzędach z wyjątkiem wojskowości i poczty używany jest w służbie wewnętrznej wyłącznie język polski, w stosunkach ze stronami także jezyk ruski.

Polacy rządząc własnym krajem wysyłają co roku swych posłów do Lwowa na Sejm krajowy, na którego czele stoi marszałek sejmu i do Wiednia do Rady Państwa, gdzie obradują jako *Koło polskie* złożone ze wszystkich warstw społeczeństwa galicyjskiego.

To Koło polskie trzyma się w wielkiej solidarności (łączności) wobec rządu i żaden z członków jego nie zabierze głosu w pełnej izbie Rady państwa bez poprzedniego zezwolenia Koła. I tej łączności, tej wspólnej pracy i uwadze członków Koła zawdzięcza Galicya, że stała się bardzo ważnym czynnikiem w wewnętrznej polityce całej monarchii austryackiej, wywiera wpływ na sprawy całego państwa i szanowana jest nawet przez wrogów naszego kraju i narodu. Przez zgodność, rozum i powagę Polaków osiągnęła Galicya wielkie korzyści, Polacy dawniej lekceważeni i pomijani przez rząd i przez inne narody państwa, teraz poważani mają w państwie wielkie znaczenie i wpływ na jego losy i kierunek. Polacy w Radzie koronnej zajmują najważniejsze ministerstwa Austryi, a w r. 1897 było czterech ministrów Polaków.

c). Szkolnictwo i towarzystwa Galicyi.

W Galicyi szczególnie rozwija się szkolnictwo kraj-

zakładzie św. Kaźmierza, w zakładzie św. Jadwigi, Towarzystwo Pań miłosierdzia św. Wincentego a Paulo, Towarzystwo schronienia nauczycielek, „Złota Skarbona“, Komitet zajmujący się telegramami kościuszkowskiemi, Towarzystwo pracownic w konfekcyi damskiej, Towarzystwo pracownic fabrycznych, Towarzystwo służby żeńskiej itd. Spis ten jeszcze nie kompletny, ale daje nam miarę, że kobiety poznańskie zorganizowały się nietylko w towarzystwach oświatowych, lecz także w ekonomicznych i charytatywnych. Na czele Towarzystw dobroczynności istnieje od dwóch lat „Związek“, którego zadaniem jest, dobroczynność prywatną na właściwe wprowadzić tory i nadać jej kierunek jednolity. Kobiety pracujące utworzyły także już związek swoich towarzystw.

Dla reszty towarzystw kobiecych nie było dotychczas Związku, jakkolwiek potrzeba jego od dawna uczuwać się dawała.

Podany na kursach społecznych projekt utworzenia odnośnego Związku, zaczął coraz bardziej przybierać szatę rzeczywistości i otóż w niedzielę zebrały się delegatki Towarzystw kobiecych, aby rzecz tę ostatecznie zadecydować. Przybyły więc przedstawicielki z różnych dzielnic polskich, a nawet z obczyzny. Reprezentowane było głównie Wielkie Księstwo Poznańskie (Bydgoszcz, Gostyń, Gniezno, Inowrocław, Kępno, Kościan, Kórnik, Nakło, Ostrów, Ostrzeszów, Pleszew, Śrem), lecz nie brakło także delegatek z Prus Zachodnich (z Grudziądza, Gdańska i Czerska). Śląsk nadesłał reprezentantki z Bytomia, Katowic, Królewskiej Huty i Rożdzienia. Z obczyzny przybyły dwie pełnomocniczki. Poznań stawił przedstawicielki „Czytelni dla kobiet“, „Promienia“, „Warty“, jako też Towarzystwa personału żeńskiego w handlu i przemyśle. Głosów reprezentowanych wszystkich razem było 91, stosownie do ilości członków poszczególnych Towarzystw.

Ożywioną dyskusyę wywołał paragraf 1 ustaw, bo chodziło o to, czy „Zjednoczenie“ obejmować ma Towarzystwa oświatowe i ekonomiczne, czy też same tylko oświatowe. Po długich debatach przyjęto uchwałę 60 przeciw 31 głosom, że „Zjednoczenie“ ma mieć charakter jedynie oświatowy, co wywołało pewne niezadowolenie u mniejszości.

Również przy paragrafie 3 debatowano dość uporczywie, bo żądano dodatku w tym kierunku, by do „Zjednoczenia“ należały tylko takie towarzystwa, które się opierają na „światopoglądzie katolickim“. Poprawka ta nie przeszła jednakże, co umożliwia, że towarzystwa polskie, składające się z ewangielickich Mazurek lub Ślązaczek także do „Zjednoczenia“ należeć mogą, jeśli — rzecz oczywista — „Zarząd Zjednoczenia“ zgodzi się na ich przyjęcie.

Reszta projektu ustaw mniej już wywołała trudności. Wysokość składek do kasy Zjednoczenia unormowano na 50 fen. od członka. „Zjednoczenie“ wydawać będzie swój organ własny, choć na razie w skromnych tylko rozmiarach. Wybrano zaraz też zarząd.

* * *

Nie można powiedzieć bez zastrzeżeń, żeby niedzielne zebranie zupełnie dodatnie było wywarło wrażenie. Uwydatniał się tam nieco brak karności, co utrudniało czynność przewodniczącej i wogóle nadawało zebraniu charakter trochę niespokojny, lecz z drugiej strony zaznaczyć należy, że panie nasze do pozytywnych doszły rezultatów, że stworzyły, co stworzyć miały, to zaś było rzeczą główną.

Co do nas pochwalamy, że nowo utworzony związek nie stawił sobie programu zbyt rozległego. Co zaś do opu-

---

we od czasu, gdy w r. 1867 cesarz Franciszek Józef I. na prośbę Sejmu postawił t. zw. *Radę szkolną krajową* na czele szkolnictwa krajowego t. j. szkół średnich i ludowych. Władzy tej podlegają Rady szkolne okręgowe, a tym Rady szkolne miejscowe.

Członkowie tychże Rad szkolnych wybierani przez obywateli państwa są więc Polakami. Najwyższemi szkołami rządowemi są w Krakowie sławny uniwersytet Jagielloński, a we Lwowie uniwersytet utworzony (w r. 1784) z dawnej akademii jezuickiej. Oprócz szkół rządowych są w kraju liczne szkoły prywatne, które szerzą wykształcenie tak naukowe jak i zawodowe, jak rolnicze, przemysłowe, rzemieślnicze i inne.

W Krakowie, Lwowie i innych miastach Galicyi są liczne towarzystwa, które pracują nad szerzeniem życia towarzyskiego, łączności narodowej i nad wyrobieniem siły ducha i ciała. Takiemi są: *Towarzystwo pedagogiczne* we Lwowie (od r. 1868) ma 3000 członków i wydaje własny tygodnik „Szkołę;“ Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie i Krakowie (od r. 1854). *Towarzystwo gimnastyczne* „Sokół“ bardzo rozpowszechnione i utrzymujące łączność i życie między licznemi polskiemi gniazdami sokolskiemi w Europie i Ameryce. „W zdrowem ciele zdrowy duch!“ — mówi dawne przysłowie i według tego hasła zawięzują się towarzystwa sokolskie. Są więc bardzo pożyteczne, wyrabiają bowiem siłę i zręczność, utrzymują zdrowie i przez nie łączą się i zbliżają do siebie ludzie rozmaitych zawodów i stanów, są sobie towarzyszami czyli druhami, a to jest niezmiernie ważne w naszym narodzie, gdzie właśnie tak nam wzajemnej łączności i siły potrzeba. Dla dobra ludu miejskiego i wiejskiego działają trzy towarzystwa: *Towarzystwo Oświaty ludowej, Towarzystwo Szkoły ludowej i Towarzystwo Kółek rolniczych.* Towarzystwo Oświaty ludowej we Lwowie i Krakowie zakłada od lat 30 po miastach i wsiach liczne czytelnie i biblioteki. Towarzystwo Szkoły ludowej działa w kraju i na kresach i zakłada nietylko czytelnie i biblioteki, lecz i szkoły tak w kraju jak i na kresach, gdzie tylko zagrożony jest język polski i polska narodowość. Towarzystwo to rozpoczęło działalność swą przed kilkunastu laty z bardzo szczupłymi środkami pieniężnymi a dzisiaj, popierane przez cały naród głównie zaś przez pełną zapału młodzież akademicką, wykazać się może świetnymi wynikami swej gorliwej pracy dla naszego narodu w Galicyi, na Śląsku i na Bukowinie. [1])

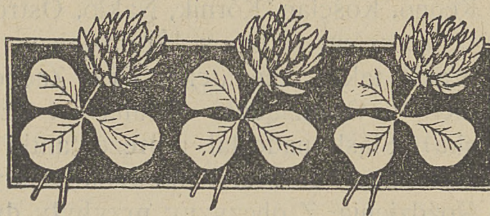
W Kółkach rolniczych łączą się włościanie jednej lub kilku gmin dla wspólnej pracy nad podniesieniem dobrobytu i ochrony przed wyzyskiem. Mają sklepy spożywcze i przedmiotów z gospodarstwem rolnem związek mających, mają czytelnie, na wspólnych zebraniach pouczają się wzajemnie w sprawach ulepszonego i postępowego gospodarstwa rolnego, i obchodzą uroczyście pamiątki i rocznice sławnych wydarzeń z dziejów naszych, które to obchody rozbudzają w nich wielce i umacniają ducha patryotycznego. Kółka rolnicze pod opieką władz krajowych od przeszło lat 20 rozpowszechniają się bardzo; w r. 1906 liczyły członków około 53,000.

Oprócz wymienionych szkół i czytelń istnieją jeszcze w Galicyi t. zw. *szkoły dla analfabetów* t. j. dla tych zaniedbanych z ludu miejskiego i wiejskiego, którzy ani czytać, ani pisać nie umieją. W tych szkołach prywatnych, utrzy-

[1]) W r. 1908 liczyło Towarzystwo *Szkoły ludowej:* 247 Kół, 24,134 członków, miało dwa Seminarya nauczycielskie: w Białej męskie, w Krakowie żeńskie, 36 Szkół, 92 Szkółek początkowych, 113 Kursów dla dorosłych analfabetów (15 dla żołnierzy), 10 Ochronek, 16 Burs dla młodzieży, 6 Domów ludowych, 1496 Czytelń i Wypożyczalń. Około 10,000 uczniów (dzieci i dorosłych) korzystało ze szkół Towarzystwa, przeszło 600,000 czytelników — z jego książek, około 200 tysięcy słuchaczy — z jego odczytów. — Sprawozdanie z działaln. Tow. *Szkoły ludowej.* Kraków 1908.

szczenia przymiotnika „katolicki“, sądzimy, że sprawa na tem nic nie traci. Obawy, żeby się do związku wkradły towarzystwa socyalistyczne, są wobec sposobu przyjmowania towarzystw do związku bezpodstawne. Akcentowanie zaś pierwiastka katolickiego mogłoby wyglądać na zrezygnowanie z ewentualnych towarzystw polskich niekatolickich. Zresztą w społeczeństwie tak dobrze katolickiem, jak nasze, którego cała kultura jest katolicka, w którym nawet notoryczni liberaliści religijni publicznie się z swym liberalizmem nie afiszują, można zrezygnować z określeń w innych warunkach niezbędnych. Wniosek mniejszości w tej mierze był nam wprawdzie wysoce sympatyczny, lecz nie sądzimy, żeby upadek jego miał objawiać tendencye antykatolickie u większości. Jest to raczej sprawa taktyki — nie zasad.

Także owych nieprawidłowości, ujawniających się na zebraniu niedzielnem, nie należy kłaść tyle na karb jakichś ujemnych tendencyj, ile na brak wprawy i nieopanowania formalistyki parlamentarnej. Wszystko to znajdzie się z czasem. Tyle tylko należy powiedzieć, że zebranie niedzielne ujawniło wiele rzetelnego zapału i przejęcia się doniosłością sprawy zaiste ważnej. To zaś więcej warte, jak czcza formalistyka i stanowi zadatek owocnej pracy na przyszłość. Szczęść Boże!



Przegląd prasy.

Jak wiadomo, nie odznaczało się dotąd sejmowe Koło polskie nadmiarem sprężystości działania i głosy krytykujące ospałość uwydatniającą się w tem ważnem ciele politycznem, niestety nie były pozbawione podstawy. Jednakże fakt, że przy głosowaniu nad wnioskiem, żądającym przeniesienia na Prusy rzeskiego systemu wyborczego i to wnioskiem, stawionym przez samo Koło polskie, brakowało okrągło połowy posłów naszych, wskutek czego wniosek trzema głosami przepadł, stanowi jakoby rekord w dotychczasowej działalności naszej sejmowej reprezentacyi politycznej. Nawet p. Wojciech Korfanty, który tylekroć w słowie i piśmie akcentował ważność i doniosłość gruntownej naprawy pruskiego systemu wyborczego, teraz, gdy chodziło o to, by czynem stwierdzić swe przekonania, spokojnie pozostał w domu. Czy ostygł w zapałach demokratycznych, czy też tyle czasu mu zabrało rozczytywanie się w „Vorwärtsie“, z którego jego gazety przytoczyły szereg plotek o polityce posła Napieralskiego w sprawie bytomskiego Związku Wzajemnej Pomocy — dość, że i tego posła nie było na głosowaniu.

Opieszałość panująca w Kole polskiem z ostrą krytyką spotyka się w pismach polskich. Powtarzamy niektóre głosy:

„Dziennik Berliński“ w artykule, krytykującym działalność posłów polskich tak pisze:

„Jak mają Koło polskie szanować, skoro w niem panuje gospodarka taka, że gdy chodzi o obrady i głosowanie nad jego własnym wnioskiem, większa połowa posłów polskich nie uważa za potrzebne przyjechać do Berlina i w głosowaniu brać udziału? Lekceważyć muszą taką frakcyą i czynią to też rzetelnie, tak inne frakcye jak i reprezentanci rządu.

„Na przykład w komisyach sejmu praca posłów polskich jest minimalną.

„Wśród członków komisyi innych stronnictw panuje ogólne zdziwienie, gdy zjawi się na posiedzeniu jej wyznaczony do niej poseł polski lub jego zastępca i gdy w danej sprawie nie

mywanych w większych miastach Galicyi kosztem, staraniem i gorliwością szlachetnych jednostek społeczeństwa, uczą się osoby już starsze, niewykształcone i mniej zdolne, jak stróże, robotnicy, służący, służące, żołnierze.[1])

d.) Kraków stolicą duchowego życia Polski.

Kraków, pierwszorzędne ognisko polskiej nauki i sztuki z najbogatszym zbiorem pamiątek narodowych, posiada od wieków Akademię czyli Uniwersytet Jagielloński z bogatą biblioteką, obserwatoryum astronomicznem i ogrodem botanicznym, ma wspaniałe groby królów na Wawelu, świątynie z dziełami sztuki, muzea i zbiory naukowe, jak Muzeum Narodowe w Sukiennicach, Muzeum Czartoryskich, Czapskich, ma jedyną na polskiej ziemi Akademię Umiejętności, Akademię sztuk pięknych, Konserwatoryum muzyczne; jest też wzniesiony na rynku (w r. 1898) wspaniały pomnik Mickiewicza. Zjeżdżają się też co roku do Krakowa Polacy wszystkich dzielnic, przybywają całe towarzystwa i szkoły i zwiedzają nagromadzone tu pamiątki narodowe w zamku królów polskich na Wawelu, w katedrze z grobami królów i skarbcem w licznych wspaniałych świątyniach, w muzeach i zbiorach. Wyjeżdżają też za miasto do miejsc pamiątkowych w prześlicznej okolicy: na kopiec Kościuszki, Krakusa, Wandy, do Lobzowa, Bielan, Tyńca. W tylu miejscach pamiątkowych tak drogich każdemu polskiemu sercu gromadzą się Polacy wszystkich dzielnic: Warszawy, Wilna, Poznania, Krakowa, Lwowa, Kijowa, stają obok siebie i łączą się. Zaciskają się serdeczną wzajemnością braterskie dłonie, wznoszą się bijące, wzruszone serca, łzawią rzewnością oczy, a jednolity głos wspólny, podniosły i natchniony, głos nie sztuczny, głos niezaprzeczony, płynie uroczo w tych błogich chwilach aż do dalekich poza granicami braci:

— Jesteśmy członkami jednej wielkiej sławnej rodziny, dziećmi jednej wspólnej matki Polski; ta wielka przeszłość nasza, pełna najszlachetniejszych czynów, pełna bohaterstwa i sławy, dziś wspólną napawa nas dumą, dziś uczy nas i hartuje, daje moc do życia i cierpień, w łączności daje nam duchową niezłomną siłę na przyszłość, że wyrabiając się i dawnych pozbywając wad, nie zginiemy i nic nie uronimy z naszej wielkości i sławy!...

e.) Braki i „nędza“ Galicyi.

W Galicyi rozwija się pomyślnie i szerzy swobodnie życie i poczucie narodowe i udziela się Polakom ziem innych zaborów. O pomyślnym rozwoju Galicyi pod wielu względami świadczyły dwie wystawy krajowe w r. 1877 i w r. 1894. Ta druga urządzona w stuletnią rocznicę bitwy Racławickiej zwała się Kościuszkowską. Ale jest w tem życiu i działaniu Polaków galicyjskich wiele braków; dawna wada narodowa, niezgoda i rozterki gnębią społeczeństwo galicyjskie i szkodzą rychlejszemu podniesieniu się dobrobytu; pomimo swobody narodowej, rozszerzania się oświaty i poczucia narodowego Galicya jest materyalnie bardzo ubogą, najuboższą z dzielnic Polski, a najbardziej udręczoną podatkami rządowymi. Ludność wiejska galicyjska, oprócz tego ucisku, nawiedzana prawie corocznie klęskami nieurodzaju i wylewu rzek, nie znajdując, przy braku fabryk w kraju, dostatecznego zarobku opuszcza ziemię rodzinną i podąża w poszukiwaniu pracy i chleba do Ameryki, do Prus, do Danii i Francyi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Pomimo swobody, jaka panuje w Galicyi, przecież jest tam jeszcze analfabetów 48 na 100, gdy w Królestwie jest ich 70. Pod tym względem zawstydza Galicyę uciśniona a tak wytrwała i silna duchem Wielkopolska, gdzie prawie już niema ludzi nieumiejących czytać i pisać (analfabetów).

tylko głos zabierze, ale okaże się dobrze poinformowany.

„Ale zdarza się to tak rzadko, że na ogół członkowie innych stronnictw polskiego członka komisyi wręcz lekceważą, a ministrowie podczas ich wywodów demonstracyjnie odwracają się od nich plecami.

„Przeważnie jednak obrady niektórych komisyi odbywają się bez udziału reprezentanta Koła, tak było teraz np. z posiedzeniami komisyi dla spraw ministerstwa sprawiedliwości. Nikt się z Koła o te obrady nie troszczył, choć właśnie w dziedzinie sądownictwa, wymiaru prawa tyle się ludności polskiej dzieje krzywdy.

„Przy obecnych stosunkach w Kole sejmowem cała praca spada na kilka gorliwszych jednostek, ale i te, obarczone zbyt wielu obowiązkami, muszą się mimo najlepszej woli i największej gorliwości, widząc, że drudzy nic nie robią, tylko bawią się w figurantów poselskich, z czasem zniechęcić i opuszczą niewdzięczną placówkę, na której bez satysfakcyi dla siebie pracowali za drugich, którzy mandat poselski przyjęli, aby nic nie robić.“

Kościańska *„Gazeta Polska“* pisze, co następuje:

„Koło polskie wystawiło więc sobie smutne świadectwo swem niedbalstwem i pokazało, że nie umie się starać o sprawy, które nas tak blisko obchodzą. Albo się może tym posłom zdaje, że tylko dla parady powierzyli im wyborcy mandaty poselskie? Przeciwnicy nasi z pewnością się teraz z nas śmieją, że nie umiemy wyzyskać korzyści, które nam się same nasuwają; przedstawiciele nasi mieli głos decydujący, tymczasem połowa ich wolała siedzieć w domu.

„Nie dziw, że nas potem lekceważą sobie. Takie jaskrawe zaniedbywanie obowiązków jest fatalniejszem, niż jakie niezgrabne lub niefortunne wyrażenie tego lub owego mówcy. Jakżeż bowiem żądać od ogółu społeczeństwa gorliwego spełniania obowiązków narodowych, jeżeli nasi przedstawiciele w Berlinie tak lekceważą swoje obowiązki wobec społeczeństwa.“

„Goniec Wielkopolski“ podał za „Dzien. Berl.“ spis posłów polskich, którzy przez swoją nieobecność na odnośnem posiedzeniu sejmu przyczynili się do zwycięstwa reakcyi i rządu, i dodał od siebie:

„Dzięki tym 8 posłom polskim przepadły więc wnioski o zmianę niesprawiedliwego i dającego nam się strasznie we znaki trzyklasowego prawa wyborczego w Prusach.

„Być może, iż choćby wnioski te były przeszły, rząd oparłby się im — atoli musiałby się jednak liczyć z większością, potępiającą fatalny system wyborczy i ostatecznie coś zrobić. Teraz, dzięki niedbalstwu 8 posłów polskich, rząd całą sprawę reformy słusznie może sobie lekceważyć.

„Jest to po prostu skandaliczne lekceważenie sobie interesów polskich wyborców i społeczeństwa polskiego ze strony wybrańców narodu.“

W *„Gazecie Gdańskiej“* takie znajdujemy zdanie:

„Być może, że ten i ów dla ważnych przyczyn na posiedzeniu być nie mógł, ale niepodobną to jest rzeczą, ażeby aż 8 polskich posłów miało do tego takie ważne przyczyny. Toć to przeszło połowa, gdyż ogółem wybieramy do sejmu tylko 15 posłów. Czas nareszcie, ażebyśmy w Berlinie mieli takich posłów, co to nie dla swego honoru każą się obierać, ale dla honoru swych wyborców.“

„Niejeden Niemiec ma prawo powiedzieć o nas, że musimy mieć licho w głowie, skoro posyłamy do Berlina takich posłów, co to wprost abecadła politycznego nie znają. Więc my wyborcy, czasu, pieniędzy i ofiar nie żałujemy, ażeby jaknajwięcej naszych posłów posłać do Berlina, ażeby Niemcy się przekonali, że żyjemy, i ażeby respekt mieli przed nami, a tu nasi poszczególni posłowie odpłacają nam się za nasze trudy tem, że im nawet ciężko pójść na głosowanie, gdy tu i o nasze dobro chodzi. To się nazywa zaprzedawaniem dobra społecznego.“

„Kuryer Warszawski“ jest zdania, że mamy zamało posłów, którzyby stale siedzieli w Berlinie, natomiast zazwyczaj dopiero na wezwanie telegraficzne prezesa Koła stawiają się w sejmie. Przy tej metodzie zdarza się zbyt często, że właśnie wtedy posłów nie ma w dostatecznej ilości, gdy są najbardziej potrzebni. Na koniec zaś tak pisze:

„Rozumiemy dobrze, że wobec trudnych warunków materyalnych, z jakiemi walczyć musi inteligencya poznańska, byłoby prawie niemożliwem znaleźć kandydatów do posłowania, którzyby zobowiązali się porzucić zupełnie swoje zajęcia zawodowe i stale mieszkać w Berlinie, poświęcając się wyłącznie pracy politycznej, ale z drugiej strony społeczeństwo okazuje naprawdę zbyt wiele *tolerancyi* wobec tych deputowanych, którzy lekceważą swoje obowiązki poselskie i pod najbłahszemi pozorami dezertują z placówek berlińskich.

„Dopóki Poznańskie nie zdobędzie się na bardzo energiczny protest przeciwko takiemu postępowaniu, dopóki komitety wyborcze nie powołają do porządku opieszałców politycznych, nie można liczyć na poprawę tych wielce szkodliwych dla interesu narodowego stosunków. Tolerancya dotychczasowa rozzuchwaliła niedbalstwo i lenistwo posłów poznańskich.“

W *„Postępie“* czytamy między innemi:

„Dziwi nas tylko, że Polskie Biuro Prasowe nie poinformowało zaraz prasy polskiej urzędowo, że posłowie polscy przyczynili się do upadku tak ważnego wniosku. O innych sprawach, czasami mniej ważnych, Polskie Biuro Prasowe zawiadamia gazety, a o tem przemilczało. Nie wiemy czy z rozmysłem, czy też może nie wiedziało, że tylu posłów polskich nie było wówczas na posiedzeniu. Pod tym względem, to nawet Polskie Biuro Prasowe powinno być kontrolerem i informować prasę polską, jak poszczególni posłowie polscy uczęszczają na posiedzenia parlamentarne lub sejmowe“.

Z powodu ustąpienia prezesa dumskiego Koła polskiego pisze redagowana przez Aleks. Świętochowskiego *„Kultura Polska“:*

„Chociaż smutny koniec działalności „gospodarzów kraju“ w Dumie był nieunikniony i — jak przypomniała „Nowa Gazeta“ — dokładnie przepowiedziany, jednakże tak sromotnego bankructwa nie przewidywano. Zawiera się ono zaś nie w ujemnym wyniku żądań i starań naszej inteligencyi, która nie otrzymała dla swego społeczeństwa nawet najmniejszej ulgi, ale w utracie kredytu moralnego i wytworzeniu położenia bez wyjścia. P. Dmowski, mianowany Parnelem polskim, a niemający do tego stanowiska żadnej zdolności i żadnego tytułu, bo ze swej istoty i upodobań polityk ruletowy, przegrawszy bez wyjątku wszystkie stawki i nie mogąc już dalej próbować szczęścia w hazardzie, objawił gotowość złożenia przewodnictwa w Kole i mandatu poselskiego. Ale to sprawy nie upraszcza. Demokracya Narodowa dla zabezpieczenia swych nominatów od współzawodnictwa, starała się o dobór stosownych garniturów w kolegiach wyborczych. „Dziś trzeba będzie — mówi słusznie „Przegląd Poranny“ — zebrać manekinów i powiedzieć im: wybierajcie z pomiędzy siebie innego posła. Jakże to zrobić mają *oni*, którzy znają tylko jedno nazwisko? Być może, zejdą się powtórnie i z uporem, właściwym wszelkiemu manekinizmowi, wymówią automatycznie raz jeszcze to samo imię, którego ich nauczono przed rokiem. A wtedy ustępujący poseł, wzruszony wiernością swego ludu, przyjmie odtrącony mandat (jak Cezar koronę)... Ale farsa byłaby zbyt gruba. O odnowieniu tedy Koła polskiego innemi i lepszemi siłami przed upływem pięciolecia wyborczego myśleć nie można. Obecna reprezentacya nasza z drobną zmianą musi pozostać i jak się wyraził w swem szczerem i uczciwem sprawozdaniu poseł kaliski p. Parczewski — „wypić kielich goryczy do dna“. Gorycz ta będzie straszna: nie znajdzie się w niej bowiem najmniejsza kropla nadziei, natomiast zmieszają się dwa lekceważenia: ze strony Dumy, wobec której zgasł wszelki urok Koła i ze strony własnego społeczeństwa, które mu nie wiele ufa. Z obu tych uczuć splata się głównie tragizm nieszczęśliwego narodu, daremnie łagodzony przez p. Dmowskiego samoobroną na cierpliwym papierze przybocznego organu i rozcieraniem dwu mydeł frazeologicznych — „dobrej oryentacyi“ i „złej dezoryentacyi“, które od lat paru służą mu do Pilatowego mycia rąk i wydmuchiwania baniek dziecinnych. Radykalnie i trafnie rozcina węzeł „Prawda“, która powiada: „Nietylko wszyscy posłowie, ale wszyscy wyborcy powinni złożyć mandaty i odwołać się do najwyższej instancyi w tej sprawie, tj. do sądu ogółu.“ Jest to stanowisko nie partyjne, ale prawdziwie demokratyczne i narodowe, ale właśnie obce — Demokracyi Narodowej.“

Artykuł posła Napieralskiego, ogłoszony w zeszłym numerze naszego pisma, przedrukował dotąd „Dziennik Pozn.“, „Goniec Wielkopolski“ i „Dziennik Berliński“. „Kuryer Poznański“ nie zupełnie się zgadza na wywody posła Napieralskiego. Na to daje mu *„Goniec Wielkopolski“* taką odpowiedź:

„Dzien. Berl.“ podając ten głos, (tj. artykuł p. posł. Nap.), pisze, że na takie postawienie kwestyi zgodzić się powinien *każdy rozsądny polityk bez względu na to, do jakiego obozu politycznego należy.*

„Kur. Pozn.“ zaś polemizuje z wywodami posła Napieralskiego i podejrzewa go o to, że „podporządkowuje rolę polityczno-narodową Koła, jego roli społeczno-ekonomicznej, co charakter Koła jako reprezentacyi narodowej zamienia na charakter zwykłej frakcyi parlamentarnej.“

„Podejrzenie to nie jest uzasadnione. Toż „Oręd.“ zawsze trąbił w tubę społeczno-ekonomiczną i na to politycy kuryerowi pięknie się zgodzili — gdy jednak kto inny jest tego samego zdania, że walka o byt nasz narodowy rozegra się na polu społeczno-ekonomicznem, wtedy go zaraz pomawiają o zamiary antynarodowe — *jakby to nie można być jak najszczerszym narodowcem, a równocześnie dbać o dorobek ekonomiczny.*

„W dalszym ciągu „Kuryer“ sili się na to, aby za znany występ młodego posła Świtały zwalić winę na posła Napieralskiego, czego się snadno doczytać można między wierszami, a także posądza posła Napieralskiego o kokietowanie i wzorowanie się na centrum, bo „linia polityczna jego nieuchwytna i chwiejna załamie się znów na granicy polsko-centrowej i wywoła w społeczeństwie naszem zamieszanie.“

„*Wszystko to uważamy za czczą gadaninę „Kuryera“*, który sam nie wie, czego chce i ztąd wywraca koziołki polityczne najrozmaitsze: raz wszechpolskie, to znowu narodowo-demokratyczne, wreszcie konserwatywne, a nawet ugodowe wedle tego, jak jego interes wymaga.

„Po co więc innych pomawiać o brak stałych zasad? po co rzucać podejrzenia?“

Dla porządku nadmieniamy, że podkreślenia poczynione w odpowiedzi „Gońcowej“ od nas pochodzą.

Ten co się pochyla do końca swego zawodu, nie lubi tego słowa: na długo. Pochodnia jego nadziei nie przyświeca na metę daleką; kres oddalony zawsze dlań czarny, jak dno przepaści, jak otchłań wieczności. Myślę czasem, czy nie marnujemy dobrowolnie szczęścia, odpychając to, którego nam Bóg udziela, a lecąc za niedoścignionem...

Ewa Felińska.

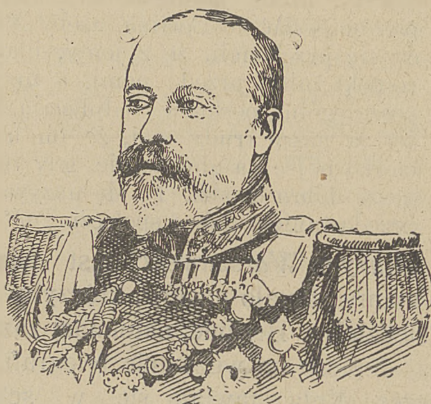
* * *

Nie będziesz wzywał imienia Polski nadaremno. *Stanisław Wyspiański.*



Na Widowni.

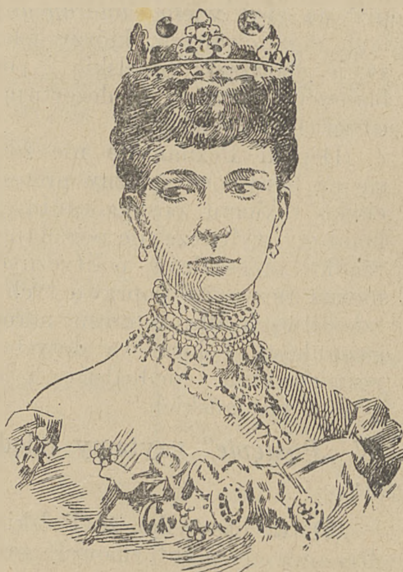
Nareszcie!... Gorąco w Niemczech wyczekiwana wizyta angielskiej pary królewskiej stała się faktem. Król Edward z małżonką przybył we wtorek 9-go b. m. do Berlina. Na dworcu lehrtowskim oczekiwała dostojnych gości para cesarska w otoczeniu licznej świty. Monarchowie powitali się



Król angielski Edward VII.

trzykrotnym pocałunkiem, tak samo monarchinie trzykroć serdecznie się ucałowały. Król przezwyciężył swój wstręt do mundurów i przywdział strojny uniform dragoński, rozmawiał z dostojnikami niemieckimi, a drżąc z zimna wysłuchał cierpliwie przemowy nadburmistrza miasta i podziękował kilku łaskawemi słowy.

Publiczność berlińska witała przejeżdżającą parę królewską entuzyastycznemi, niemilknącemi okrzykami.



Królowa angielska Aleksandra.

Gazety niemieckie przepełnione opisami przyjęcia, które istotnie było wspaniałe, dodają od siebie artykuły powitalne, w których przebrzmiewa głęboka nuta radości i zadowolenia, że wydarzenie od lat oczekiwane — król Edward był ostatni raz w Berlinie na pogrzebie swego szwagra, nieszczęśliwego cesarza Fryderyka, — nareszcie nastąpiło. Niestety fałszywy ton wmieszał się w radosne hejnały uroczystości dworskich, bo otóż socyaliści na sam dzień zjazdu angielskiej pary królewskiej zwołali szereg zebrań robotników pozostających bez pracy, poczem wiecownicy urządzili manifestacyjne pochody wśród ulic stolicy, następstwem których były rozliczne większe i mniejsze starcia z wojskiem i policyą. W kilku miejscach przyszło do regularnych bójek, gdzieindziej zatrzymywano omnibusy i tramwaje, zdzierając z nich chorągwie niemieckie i angielskie. Mały oddział manifestantów usiłował nawet dotrzeć przed zamek królewski, lecz policya udaremniła ten zamiar, rozpędzając ich na cztery wiatry.

Wydarzenie to bardzo jest nieprzyjemne patryotom berlińskim. Świadczy bowiem o tem, że socyaliści nie solidaryzują się wcale z ogólną radością narodu niemieckiego i ignorują proste prawa zwykłej gościnności. Z drugiej strony istnieje obawa, by nieprzychylne Niemcom gazety angielskie nie zaczęły bić kapitału z tych zajść i tłumaczyć je tendencyjnie, jako zwrócone wyraźnie przeciw królowi i narodowi angielskiemu.

Jakkolwiek po dziś dzień wizyty monarchów nie mają tego znaczenia politycznego, co dawniej, gdy rządy jeszcze wyłącznie sprawowane były przez królów — to jednak zaprzeczyć się nie da, iż nie są one bez wpływu na ukształtowanie się stosunków pomiędzy poszczególnemi państwami. Wizyta angielska oznacza niewątpliwie pewne zelżenie napięcia politycznego pomiędzy Anglią a Niemcami i jest dobrym prognostykiem na przyszłość najbliższą. Snać szanse pokoju znów wzrosły, o czem świadczy także powolne pomyślniejsze układanie się spraw na Bałkanie tudzież zawarcie układu marokańskiego pomiędzy Niemcami i Francyą, podpisanego w sam dzień przybycia królewskiej pary angielskiej do Berlina, a mającego na celu ułatwienie wykonywania przepisów traktatu algeciraskiego. W układzie tym gwarantuje Francya niezawisłość i całość państwa marokańskiego oraz obowięzuje się nie przeciwdziałać niemieckim interesom handlowym w tym kraju. Niemcy zaś uznawają specyalne polityczne interesy Francyi w Marokku i obowięzują się tym interesom nie przeciwdziałać. Układ ten jest ważnem wydarzeniem politycznem, świadczącem o dobrej woli obu mocarstw, skierowanej ku utrzymaniu pokoju, sądzić zatem należy, że obecnie sprawa marokańska przestanie być jabłkiem niezgody europejskiej.

Podczas, gdy się to wszystko dzieje w Berlinie, na południu i zachodzie Niemiec uwydatniają się wielkie kata-

strofy z powodu powodzi powstałych z przeboru rzek (Renu, Wezery, Rury, Łaby itd.) oraz huraganu, który nawiedził owe okolice. Straty w materyale są znaczne, również ludzie padli w znacznej ilości ofiarą tych katastrof żywiołowych.

W parlamencie austryackim znów wydarzyły się skandaliczne zajścia. Czescy radykali podrażnieni najniepotrzebniej przez Niemców, którzy nie chcieli dopuścić do kompromisu pomiędzy Czechami a kierownikiem ministerstwa handlu Matają, urządzili piekielny koncert obstrukcyjny, z którego wywiązała się regularna bójka. Sprawa zakończyła się zamknięciem parlamentu, co ma ten skutek, że nietykalność poselska ustaje, posłowie nie dostają dyet, a prezydyum i wszystkie komisye muszą się poddać nowym wyborom. Zarazem jednak padają pod stół wszystkie wnioski nagłe, które uniemożliwiały parlamentowi robotę. Prawdopodobnie dotychczasowy gabinet urzędniczy zostanie przekształcony w stały, ogłosi rozporządzenia językowe — o te bowiem toczy się walka główna — według projektu barona Bienertha. Zwołania izby należy się spodziewać po kilku tygodniach.

Również włoska izba deputowanych została zamknięta.

Z naszych spraw zanotować należy złożenie mandatu poselskiego do Dumy przez p. Romana Dmowskiego, co spowoduje wybory uzupełniające w Warszawie, wybór posła Niegolewskiego do parlamentu niemieckiego z okręgu Śremsko-średzkiego tudzież zjazd delegatek towarzystw kobiecych w Poznaniu, o którym piszemy obszerniej na innem miejscu.

Listy od przyjaciół.

Kolonia polska w Kirchlinde.

Kirchlinde, w Westfalii, 5 lutego 1909.

Bardzo smutne panują stosunki w naszej miejscowości pod względem narodowości. Na liczbę mniej więcej 500 Polaków mamy aż cztery towarzystwa, które, że tak powiem, konkurują między sobą, gdyż jedno Towarzystwo stara się, aby miało większą liczbę członków i więcej pieniędzy w kasie, aniżeli drugie. Ale żeby na porządku dziennym zebrań były pożyteczne i oświatowe sprawy, jak odczyty, deklamacye i t. p. to na to niema czasu.

Założonem zostało tutaj także Koło śpiewu, ale bardzo mało jest popierane; przeważnie ludzie starsi do niego wstępują, a młodzież buja po manowcach. Wiele, wiele nam tu na obczyźnie jeszcze niedostaje!

Proszę wybaczyć błędy, jakie w niniejszem piśmie zachodzą, bom nie żaden uczony, ale człowiek pracy i do tego młody. W końcu pozdrawiam Szanowną Redakcyą i życzę jak najlepszego rozwoju naszej kochanej „Pracy.“

Gorliwy czytelnik „Pracy.“



Dyonizy Królikowski.

Rzemiosło i jego organizacye.

Gdybyśmy chcieli wykazać przykładowo, jaką doniosłość w życiu ekonomicznem i kulturalnem posiada organizacya wogóle, a w szczególności organizacya stanowa, to najklasyczniejszym przykładem tego byłyby cechy; żaden stan bowiem nie posiadał organizacyi tak wybornej, obmyślanej wszechstronnie i dostosowanej do warunków, jaką były cechy rzemieślnicze. Cechy realizują w pewnej mierze postulat naszego Supińskiego, owe „zestawienie harmonijne indywidualności w życiu zbiorowem czyli zgodność samoistnienia z zawisłością.“

To właśnie praktyczne rozwiązanie problemu sharmonizowania interesu indywiduum ze zbiorowością, objawiające się w cechach powinno budzić najżywszy interes ekonomistów i znaleść nawet pewne uwzględnienie w teoryach podstawowych poszczególnych szkół ekonomicznych.

Trudno byłoby wytłomaczyć sobie obojętność, jaką kwestyi rzemieślniczej okazuje większa część ekonomistów, gdyby nie to, co słusznie podnosi ekonomista czeski dr. Kunz, że żyliśmy i żyjemy jeszcze pod wpływem uroku liberalizmu, teoryi wolnościowych, że liberalizm ten wyhodował egoizm, przez co powstało rozczłonkowanie organizmu społecznego, że w nim była: „sila odstrediva (siła odśrodkowa) protiv které dlužno postavit myszlenku jež ma silu ustredivu (dośrodkową).

Taką manifestacyą owej siły dośrodkowej były właśnie cechy rzemieślnicze.

Organizacye rzemieślnicze z ich nieuchronnem ograniczaniem prywatnej inicyatywy i indywidualizmu sprzeczne są teoryi zasady liberalnej, popierającej gorliwie taką inicyatywę i usuwającej wszystko, coby stało na przeszkodzie zasady laisser fair, laisser passer.

Doktryna socyalistyczna, według której źródłem wszelkiego zła ma być własność indywidualna, domagająca się zniesienia własności prywatnej choćby tylko środków produkcyi, byłaby zbytnitem ograniczeniem indywidualizmu, któremu pewne swobody rozwoju zostawiają organizacye rzemieślnicze.

Bliższą duchowi organizacyi rzemieślniczych jest szkoła katolicka, upatrująca główny powód złego w wolnej konkurencyi a nie w indywidualnej własności, szukająca swego ideału w przyszłości w powrocie do niektórych instytucyi przeszłości za pomocą utrwalenia trzech powag: ojca w rodzinie, majstra w warsztacie i kościoła w państwie.

Pewną podstawę do pracy nad rozwojem organizacyi rzemiosła daje też teorya szkoły narodowo-ekonomicznej, która każe zjawiska ekonomiczne badać przedewszystkiem historycznie, gdyż historya wyświecić może ich prawdziwy charakter, wskazując, w jaki sposób się tworzą i przekształcają instytucye ekonomiczne i społeczne, oraz uznając, że to co jest, co będzie i co powinno nastąpić, jest w związku ze sobą. Rozszerzenie artybucyi państwa, jakiej szkoła ta żąda, stanowi jednakowoż najgłówniejszą przeszkodę w rozwoju organizacyi danego stanu, ponieważ, jak wiemy, państwo nie jest abstrakcyą, lecz znajduje się pod wpływem pewnych stronnictw i warstw społecznych.

Kwestyą organizacyi rzemiosła zainteresowały się za to więcej w ostatnim czasie rządy, dowodem tego jest nowe ustawodawstwo rzemieślnicze w Austryi, we Włoszech, Francyi, Anglii i w Niemczech. Państwa zainteresowały się kwestyą rzemieślniczą w pierwszym rzędzie dlatego, że w liczebnie dość silnym stanie mogą znaleść czynnik zdrowy i zachowawczy, pożądany w dzisiejszych czasach zbyt szybkich przeobrażeń i dążeń skrajnych.

W Niemczech ustawodawstwo rzemieślnicze powinno budzić tem większe zainteresowanie, że ujawnia się w niem duch szkoły niemieckiej narodowo-ekonomicznej, którego przedstawiciele przyznają państwu w stosunku do jednostki kompetencyę bardzo daleko idącą, jak o tem wiemy z ustawodawstwa na innem polu.

Kwestya organizacyi rzemiosła posiada więc aktualność naukową i życiową, praktyczną i teoretyczną. Zoryentowanie się w tej kwestyi musi być pożądanem każdemu interesującemu się kwestyami społeczno-ekonomicznemi.

Socyolog i ekonomista dr. Engel pisze, że kwestya rzemieślnicza należy do najtrudniejszych problematów socyalno-ekonomicznych. Równocześnie należałoby stwierdzić, że należy ona do

problematów najmniej znanych i to z tej prostej przyczyny, że ją bagatelizowano, że ją wobec kwestyi robotniczej występującej dzięki zbiegowi różnych przyczyn na plan pierwszy, traktowano wszędzie po macoszemu i odmawiano doniosłości, jaką posiada bezsprzecznie.

Jakim czynnikiem ważnym w życiu ekonomicznem jest mały przemysł w Niemczech, o tem przekonuje nas statystyka przedsiębiorstw przemysłowych małych i wielkich.

W całych Niemczech jest 2,147,000 przedsiębiorstw przemysłowych, z których większa połowa, bo 1,300,846 tj. 61 procent przypada na warsztaty, w których pracuje tylko 1 osoba.

W obwodzie rzemieślniczym poznańskim według statystyki Izby Rzemieślniczej z r. 1908 było ogółem na 1,246,472 ludności 40,668 pracujących w rzemiośle, 20.221 rzemieślników samodzielnych. W całej prowincyi poznańskiej było 25.146 warsztatów rzemieślniczych, w których pracował rzemieślnik bez pomocy czeladników i uczniów, 16,465, w których zatrudniał 2—5 pracowników, razem więc było w prowincyi 41,611 warsztatów rzemieślniczych.

Na 1 kilometr kwadratowy przypada u nas jeden samodzielny rzemieślnik i dwie osoby zajmujące się rzemiosłem.

Na 100 majstrów pracuje 59 bez pomocy czyjejkolwiek, 15 zatrudnia czeladników, 14 tylko uczniów, 10 czeladników i uczniów. Pod tym względem stosunki w Niemczech nie różnią się znacznie od naszych, gdzie także liczba majstrów pracujących bez pomocy czyjejkolwiek wynosi 55 procent.

Cyfry te wykazują jak znaczny procent ludności znajduje pole zarobkowania w rzemiośle; rzemieślnik samodzielnie pracujący przypada na 60 mieszkańców a 1 osoba, pracująca w rzemiośle na 30 mieszkańców.

Wobec tych cyfr uwidocznia się jak błędnem jest zakorzenione mniemanie, że rzemiosło należy do form przeżytych, do epok dawniejszych, że lata jego egzystencyi są policzone.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Gdybyśmy odrzucili formy, obcowanie z ludźmi stałoby się istną torturą.
Józef Bliziński.

* * *

Niemasz nic bardziej niedorzecznego i nic bardziej bezbożnego, nad człowieka mającego wzrok okryty gęstą mgłą zmysłową, gdy się odważa rozumować o wyrokach odwiecznej sprawiedliwości.
Ludwik Zeiszner.



Kontrakty kijowskie.

III.

Oprócz domu kontraktowego i hali targowej sporo kupców się mieści i w kamienicach prywatnych, a wśród nich odznaczał się zwłaszcza arystokratyczny magazyn Szafnagla, przyjeżdżającego ze swymi zbytkownymi towarami co roku z Berdyczowa, oraz magazyny Kisielewskiego, Matiasa, Koni, Lubbego, Mintera i Mathieu. A tu i owdzie błyszczał napis: *Magasin de Moschko Bisk,* albo *Magasin de Ryfka.*

Zjazd w drugiej połowie stycznia stawał się tak licznym, że wszystkie domy mniej i bardziej odległe od centrum życia kontraktowego były literalnie napchane przejezdnymi. Przybywający na ten czas do Kijowa, łączyli się często w kompanie i wynajmowali wspólnie, wobec wygórowanych cen na mieszkanie, całe domy.

Cichy Kijów formalnie huczał teraz weselem. Koncerty, bale, pikniki, festyny odbywały się prawie nieustannie, tembardziej, że rodzice przywozili swoich synów i córki „dla nadania im poloru i ogłady wyższego świata, oraz dla zabrania z nim znajomości i stosunków.“ Aleksander Jełowicki, wspominając w swoim pamiętniku te chwile, gdy mu ojciec każe jechać do Krakowa, celem odbywania tam dalszych studyów, tak o tem pisze: — „na te słowa aż mi się słabo zrobiło; pomyślałem sobie: skończyłem szkoły, byłem w Kijowie na kontraktach, sam do Odesy jeździłem, starego wilka zabiłem i mam się jeszcze uczyć?...

W dniu otwarcia kontraktów wydawała szlachta polska dla generał-gubernatora bal, a słynęły wówczas (lata trzydzieste) z piękności „królowe balów“ hr. Poniatowska, hr. Ilińska, Pisarewa, i panny Świejkowska, Hińcówna, Astromówna i inne. Bale szły teraz długim szeregiem i odznaczały się nadzwyczajnym zbytkiem i wystawnością. Nieraz cukry, dostarczane przez Beckersa kosztowały sto dukatów, a szampan 400 rubli.

Zjeżdżali się tłumnie i słynni jarmarkowicze „bałaguli“, a z nimi restaurator Bellot, u którego czas gościom uprzyjemniały arfiarki i gdzie „bałaguli“ odbywali słynne swe bachanalie, w czasie których wino lało się strumieniami, a w karty przegrywano całe nieraz fortuny.

Bo też karciarstwo stanowiło lwią część przyjemności kontraktów. Wielu obywateli przyjeżdżało do Kijowa wyłącznie tylko w tym celu. Słynął też z karciarstwa i wielki muzyk, Liszt, który zarabiając w czasie kontraktów olbrzymie pieniądze, zaraz też je przegrywał w karty. „Niejaki student Kotiużyński — pisze Ułaszyn — dorobił się na Liszcie znacznych kapitałów.“

Ściągały kontrakty i pp. księgarzy do Kijowa, z których niektórzy osiedlali się tu na stałe. Przyjeżdżali tu Glücksberg i Żawadzki z Wilna, Wolff z Petersburga, Orgelbrand z Warszawy. Nabywanie książek należało wówczas do dobrego tonu kontraktowego. Józef Drzewiecki, legionista, zamieszkały w powiecie hajsyńskim, tak o tym ruchu książkowym pisze do córki swojej w roku 1841: „Z kontraktów kijowskich napłynęło książek polskich bez końca w okolicę naszą; byle oczy starczyły, możnaby niemi rok cały opędzić, czytając je.“ Oprócz polskich i rosyjskich książek przywożono też książki francuskie, niemieckie, włoskie i angielskie, a zwłaszcza piękne wydania francuskie *ouvrages de luxe* sprzedawano na wagę złota. W księgarniach można było również się spotkać z antykiem cennym, z piękną rzeźbą, lub z obrazem niepomiernej wartości.

Co wieczór Kijów miał koncerty, na które zjeżdżali się pierwszorzędni artyści, opłacani sowicie. A więc: Liszt, Lipiński, Romberg, Dreyschok, Apolinary i Antoni Kątscy, Józef Wagner, uczeń Halamy, bracia Wieniawscy, z których starszy miał podówczas 16, a młodszy 12 lat, Talberg i Serve, Frankensztejn, Szczepanowski, Kosowski, Sokołowski „król gitarzystów, artysta bez rywali,“ Vernick, siostry Dulken, Pasta Mas-Mazi, lady Gold, mademoiselle de Lorraine, za którą szczególniej młodzież szalała. Największym atoli ulubieńcem publiczności był Lipiński. „Nie jeden szlachcic — pisze Jełowicki — pierwej jak o cenę dóbr i zboża pyta, czy jest Lipiński; skoro jest, wszyscy go rwą do siebie.“

Dawano i przedstawienia teatralne w drewnianym dwupiętrowym budynku, który stał w tem miejscu (na Kreszczatyku), gdzie wznosi się obecnie hotel Europejski. W pierwszej

ćwierci ubiegłego stulecia antreprenerem był Lenkowski, a potem Niedzielski i Rekanowski. A oto tytuły sztuk: „Abellino, czyli straszny zbójca wenecyański,“ „Straszny cień Klary.“ „Straszny cień Rinalda i fantom“ i t. p. W roku 1846 właśnie podczas wypadków w Krakowie, przyjechała na kontrakty operetka Szmidhofa z Wilna. Pamiętnem było przedstawienie *„Muette de Portici“* w teatrze przepełnionym wyłącznie polską publicznością, która w tym roku niezwykle licznie zjechała do Kijowa. W r. 1859 teatr kijowski przeszedł pod dyrekcyę przybyłego z Galicyi Teofila Nowiny-Borkowskiego.

Kijów stał się podówczas ogniskiem literackiem na Ukrainie. Zasłynęli kompozytorowie dumek i szumek ukraińskich: Lipiński, Kozłowski, ks. Lubomirski, Obniski, Jaroński, Kocipiński, Jasiński, Zawadzki... A z literatów i publicystów wymienić należy: Michała Grabowskiego, Henryka Rzewuskiego, Ignacego Hołowińskiego, Józefa Przecławskiego i Ludwika Sztyrmera, których organem był „Tygodnik petersburski“ oraz przedstawiciele demokratycznego kierunku: Zenona Fisza (Padalicę), Marcinkowskiego, Dołęgę, którzy w r. 1847 redagowali przeniesiony z Petersburga rocznik „Gwiazdę;“ nadto zaś T. Steckiego, Rulikowskiego, Kraszewskiego, Korzeniowskiego, hr. Przeździeckiego, ks. Marczyńskiego, Sowińskiego Sylwestra i Aleksandra Grozów.

Oprócz wymienionych poetów, bywali częstymi gośćmi w Kijowie podczas kontraktów: Gustaw hr. Olizar, Berlicz Sas (hr. Strutyński), Tyman Zaborowski, Aleksander Weryho Darowski, Konstanty Podwysocki, Karol Drzewiecki, Adolf Dobrowolski, Sierociński, Andrzejowski (Detiuk), Adolf Januszkiewicz, hr. Stanisław Starzyński (Stach z Zamiechowa), Franciszek Kowalski, autor popularnej piosenki „Tam na błoniu błyszczy kwiecie,“ Karol Sienkiewicz, Sowiński, Kraszewski oraz miłośnicy i zbieracze starożytności: Konstanty Świdziński, Herman Hołowiński, Podwysocki, wreszcie... Honore de Balzac, który przyjeżdżał tu w latach 1849 i 1850 z powodu małżeństwa swego z Eweliną hr. Rzewuską, wdową po Wieńczysławie Hańskim.

Wśród takiego to zawrotnego wiru interesów i zabaw, odbywały się słynne kontrakty kijowskie do roku... 1863.

„Trwają one krótko — pisze w „Emerycie“ Korzeniowski — ale zostawiają długie ślady w życiu kilku tysięcy ludzi, którzy mają w nich czynny udział. Zjazd ten, jedyny w swoim rodzaju wzbogaca miasto, wprawia w wielki ruch handel; wszystkim zaś, którzy mają interes, tyczący się majątków, a często i bytu, naznaczając pewny stanowczy termin daje czas do zebrania się z siłami. Jak każda rzecz ziemska i ludzka mają kontrakty dobrą i złą stronę. Przesiewają one, że się tak wyrazim i tranzlokują mnogie miliony i jeśli zapewniają spokojność, dochód i egzystencyę na kilka lat, lub na zawsze, to często także rujnują mienie, a honor i spokój innych na resztę życia niszczą.“

O tych złych i niebezpiecznych stronach kontraktów, tak pisze w 1841 r. do redagowanego przez J. I. Kraszewskiego „Ateneum“ (tom III., str. 80) korespondent kijowski:

„Ileż to gwałtownych uczuć, łez i wrażeń zawiera jedno tylko słowo kontrakty; ileż to nieszczęść, przewinień, a często nawet i zbrodni są one przyczyną. Nie jedna żona musi podpisać cyrograf na własny majątek i ostatni fundusz wydrzeć swym biednym dzieciom, aby na chwilę wstrzymać od zagłady i upadku przemarnowany męża majątek.“

„A Jełowicki („Moje wspomnienia“ Kraków 1891 r.) tak o tem mówi: „Pokończywszy roboty, jak kto mógł, ten kupiwszy parę wiosek, ten sprzedawszy zboże, co się ma urodzić, ten opłakawszy czyje straty, dla tego, że sam na nich utracił, ten zgrawszy się, jak włoskie skrzypce, tamten, zakochawszy się, jak kot, a każdy nakupiwszy smażenia i kawioru, herbaty i cukru, śledzi i minogów, nowych książek i nowy kalendarz berdyczowski wraca do domu rad, że cały się wyrwał.“

„W ostatniej ćwierci ubiegłego stulecia — pisze w „Dzienniku Kijowskim“ p. Edw. Paszkowski — kontrakty kijowskie coraz bardziej tracą swoje dawne znaczenie, a trzyma je dotąd wyłącznie cukrownictwo.

I dziś jest jeszcze huczno i wesoło w czasie owego jarmarku, ale już na miarę nowoczesnej kieszeni...

O dawnej świetności mówią tylko — wygórowane ceny hotelowe i bezmyślnie najczęściej lejący się szampan — bez wesołości i humoru, ot tak dla... „hodytsia,“ niby, że to „kontrakty,“ więc należy zużytkować możliwie największą jego ilość. Interesy złe, a nastrój psują przeróżne ciężkie, a obfite „zmory...“

Koniec.

Chciwiec żebrze ustawnie, ażeby skarb zebrać,
Marnotrawca rozrzuca, ażeby pójść żebrać.

Hieronim Feldmanowski.



G. Smólski.

Z podróży po Słowaczyźnie węgierskiej.

V.

Bogactwu pieśni ludowej odpowiada przepych barwny strojów ludowych, których rozmaitość jest zdumiewająca. Nie tylko bowiem odróżniają się od siebie strojem komitaty, lecz także powiaty, okolice a nawet poszczególne wsie. Liptak albo Zwoleniak niepodobny strojem do Orawczanina lub Nitczana, jak turczański albo trenczyński „sedlak“ (chłop) do Sprzaka lub Szaryrzanina, a jeżeli w tym lub owym komitacie stroje posiadają mniej więcej podobny krój, to z pewnością powiaty i okolice różnią się pomiędzy sobą barwami i zdobnictwem t. j. wyszywaniami, które wogóle są bardzo bogate, misterne i wykazują najróżnorodniejsze kombinacye barw, świadczące o dobrym smaku i pomysłowości ludu, jak o tem przekonuje obfitość różnorodna strojów w ogóle. Wyszycia słowackie wkraczają stanowczo z pomysłowością zdobniczą i wykonaniem swojem w dziedzinę przemysłu artystycznego, a są to wszystko, jak cały przemysł domowy słowacki, bardzo wytworny w niektórych gałęziach, zabytki prastarych czasów, pomniki samorodnej prasłowiańskiej kultury zmiennej, która sądząc tylko po tych jej cząstkach bynajmniej nie mogła być tak nikłą, jak ją szczególnie nasi przyjaciele Niemcy usiłują przedstawiać. Ludy niekulturalne nie mogą żadną miarą rozwijać takiego przepychu i takiej różnorodności strojów, rozwijać takiego zbytku na zewnątrz, co tem bardziej waży, że materye i zdobnictwo całe tych strojów było od wieków wyrobem własnym od a aż do z. Chodowano owce dla wełny, tę przędzono, tkano, wyrabiając samodziały i sukna, a tak samo uprawiano z ziarnka len, przerabiano go na płótna, zabarwiano — wynajdywano najrozmaitsze kroje i najróżnorodniejsze kombinacye barw i zaopatrywano odzież w sute zdobnictwo, czego w stanie niekulturalnym pod żadnym warunkiem wykonać nie można, równie jak wiele innych wyrobów przemysłu domowego, którego okazami przepełnione jest muzeum narodowe w Turczańskim Świętym Marcinie.

Podobnie jak strojów istnieje pomiędzy Słowakami ogromna rozmaitość gwar ludowych. Pod tym wzglę-

dem nie tylko każdy komitat, lecz prawie każdy powiat sądowy ma swoją własną gwarę lub przynajmniej podrzecze, które to gwary i podrzecza posiadają swoje odrębne właściwości, lecz w ogóle nie o wiele odbiegają od siebie. We wszystkich atoli gwarach słowackich słychać ł, w wielu zamiast czeskiego miękkiego d polskie dz, jako też zamiast miękkiego t przy końcu czasowników polskie c, natomiast gwary słowackie w ogóle nie znają polskiego i czeskiego rz używając natomiast starosłowiańskiego r miękkiego. W niektórych gwarach odzywają się nawet stępione i przyćmione polskie nosowe brzmienia ę i ą jako też um. W ogóle dzielą się narzecza słowackie na 3 główne grupy, mianowicie na: 1 czesko-słowackie w komitatach preszburskim i nitrzanskim, które atoli należałoby raczej zwać morawsko-słowackiemi; 2) środkowo-słowackie w komitatach trenczyńskim, turczańskim, liptowskim, zwoleńskim, tiekowskim, nowogrodzkim, konckim i giemerskim — do polszczyzny bardzo zbliżone; 3) polsko-słowackie w komitacie orawskim, szaryskim, spiskim, zemuńskim i aboskim. Ostatnie narzecza śmiało nazwać można polskiemi, jak z powyżej z przytoczonych prób gwarowych wynika. Piśmienny język słowacki urobiony na podstawie środkowo-słowackich gwar, w szczególności zaś gwary komitatu turczańskiego.

W ciągu mej podróży po Słowaczyźnie mogłem już w Turczańskim Świętym Marcinie doskonale porozumiewać się z miejscową ludnością i wszędzie dobrze mnie rozumiano mówiącego po polsku. Im dalej posuwałem się w górę rzeki Wagu tem łacniej i lepiej szło wzajemne porozumiewanie. Nad Orawą i Popradem czułem się już jakoby na ziemi polskiej. Podążyłem jeszcze dalej, na Ruś zakarpacką w okolice Preszowa (Eperjes) i Koszyc. Wszędzie mówiono mi: tam już ludność „rusmacka," co zresztą wiedziałem z książek. Do Koszyc przybyłem późnym wieczorem około godziny jedenastej. Miasta wcale nie znałem. Jeden z przygodnych towarzyszów podróży dał mi adres hotelu Szalkasa, więc przybywszy z dworca zdążałem podług otrzymanego opisu drogi do tego hotelu, który miał być oddalony od dworca 5 minut.

Na ulicy zwanej „bulwarem," przy której leżał, nie widać już było żywej duszy. Gdym uszedł już siedem, ośm minut, a hotelu nie widziałem przed sobą, obawiałem się czy nie chybiłem drogi. Zacząłem się wciąż oglądać, czy nie zoczę kogo, by mi wskazał drogę. Spostrzegam stróża nocnego, do którego zdążam i pytam się o hotel po niemiecku. Odpowiada mi po polsku, że po niemiecku nie rozumie. Mówię z nim po polsku, co miłą było dlań niespodzianką. Prowadzi mnie do hotelu. Droga trwała jeszcze kilka minut, po drodze rozmawialiśmy żywo o stosunkach miejscowych.



Dziewczyna słowacka z komitatu zwoleńskiego.

— Ot, tu na lewo — rzekł mi w końcu — gdzie hore latarnia — hotel Szałkasa.

Żegnając go i dając na piwo, zapytałem:

— Wy pewno z Galicyi?

— O nie — odpowiedział — ja ukerski, tutejszy.



Strój słowacki męski z komitatu trenczyńskiego.

— A gdzieżeście się nauczyli po polsku?

— Po polsku? ja nie umiem po polku, po polsku mówią w Galicyi.

Zdziwiło mnie to ogromnie.

— A jakżeż wy mówicie?

— Ja mówię po *naszemu*.

Człowiek ten mówił po polsku nie wiedząc o tem.

Nie ma się czemu dziwić. My nie wiemy nic o tutejszym polskim ludzie, lud nie wie nic o swej polszczyźnie, wie tylko, iż mowa jego rodzinna jest jego, kocha ten skarb odziedziczony po praojcach, mówi: „po naszemu," bez świadomości swej istoty ludowej, nauczony podobnie jak słowik, który wyśpiewuje swoje pieśni.

A my graniczymy z Słowaczyzną i tak zwaną Rusią zakarpacką o miedzę i nieznamy ziem. Pod względem językowym przedstawiają one dla nas ogromny las dziewiczy, z którego na pożytek narodu moglibyśmy wynieść prawdziwe skarby.

Koniec.



Z teatru.

Kornel Ujejski: „Pierwiosnki". — Fredro: „Pan Geldhab".

W sobotę mieliśmy prawdziwą ucztę artystyczną w teatrze dzięki znakomitemu doborowi sztuk oraz ich interpretacyi.

W „Pierwiosnkach" debiutowała w bardzo poetycznej roli Tosi panna Marya Radwan i zyskała sobie odrazu sympatyę publiczności. Była to pełna poezyi i wdzięku kreacya artystyczna, której młodej debiutantce szczerze powinszować należy. Partner jej pan Boroński (Staś) grał z temperamentem, lecz w tonie właściwym nie potrafił się konsekwentnie utrzymać. Znakomicie wywiązała się z zadania pani Królikowska w roli rezolutnej wdowy, również chwalca starych czasów i starych miodów, Wojciech Doliwa, w osobie pana Czerniaka zdolnego znalazł reprezentanta. Rolę Laury objęła pani Bogusińska i lubo tego rodzaju postacie nie odpowiadają specyalnie indywidualności artystki — to pani Sznagowej domena — to jednak kreacya pani Bogusińskiej zupełnie była na wyżynie zadania. Wprost znakomita była inscenizacya, która idylę Ujejskiego we właściwe uchwyciła ramy.

* * *

Wielkie również powodzenie miała fredrowska komedya. Rolę tytułową obrał p. Kosiński i stworzył prawdziwy typ bogatego a ordynarnego dorobkiewicza, chlubiącego się stosunkami z książętami. Nieodrodną córą nadętego papy była pani Sznagowa. Artystka czarowała nie tylko znakomitą grą, lecz olśniewała przepychem tualety, świad-

czącym porówno o idealnym stanie kieszeni szanownego papy Geldhaba, jak o guście próżnej córuni, który wbrew wszelkim przypuszczeniom okazał się istotnie wytwornym. Rola prawego i hałaśliwego majora spoczywała u pana Andruszewskiego w wytrawnych rękach. Artysta prezentował się znakomicie w pięknym mundurze majorskim i obracał się w nim z wytworną swobodą. Nie można tego powiedzieć o p. Recheńskim (Lubomir), który nie uwydatnił należycie zacięcia żołnierskiego, a w zupełnym był ambarasie ze szpadą, która mu widocznie zawadzała. Szczęśliwy wybór zrobiono oddając rolę Lisiewicza p. Ruszczycowi. Typ ten, dzięki pięknemu talentowi interpreta, wypadł znakomicie. Również p. Kęcki, jako książę, był zupełnie w swoim żywiole, szkoda tylko, że zachował maskę z Dożywocia no, i ineksyprymable, którym niejakie odświeżenie byłoby przywróciło pierwotne idealne kształty. Nakoniec z uznaniem należy podnieść epizodyczny występ p. Justiana, który w roli Piórka szczególniej w masce był doskonały.

Publiczność — mimo że w ten sam dzień odbył się w Bazarze na rzecz ubogich koncert, w którym p. Cichowiczówna, p. Ign. Brzeski i p. mec. Paczkowski zasłużone zbierali laury, — licznie stawiła się na przedstawienie; snać stary repertuar klasyczny licznych ma u nas wielbicieli, z czego się tylko najserdeczniej radować należy.

R.



Czytelniku! Czy już zaagitowałeś pomiędzy znajomymi za „PRACĄ“, której przedpłata na luty i marzec wynosi na wszystkich pocztach 1 mk.?

(Kwity w dziale anonsów).

Co za cudowna wiara w łączność żyjących z tymi, którzy już przeszli, rozpłynęli się bez śladu, jak tonące, drżące brzmienia dzwonów w powietrzu. Ta pamięć o nich, jedynie nie samolubna, jest szczytna. Ona różni człowieka od zwierzęcia, które zmarłych swych nie grzebie i o nich nie pamięta.

Adam Krechowiecki.

* * *

Świat postępuje naprzód. Najpierwej idzie myśl, roznoszą ją ubodzy apostołowie i giną w niepamięci. Po nich idą fundatorowie, zbierają rozrzucone ziarna ubogich robotników i budują dzieła. Imiona ich przechodzą do potomności, tamtych giną.

J. Zacharyasiewicz. (Boże Dziecię.)

* * *

Życie jest walką i obowiązkiem a nie użyciem i kaprysem, a obowiązku tego nikt nie ma prawa pozbywać się przed czasem dlatego, że gorżki i twardy, — tak, jak żołnierzowi w marszu nie wolno rzucić karabinu, dlatego że ciężki.

Ks. Jan Gnatowski.

* * *



Dział kobiecy.

Kobiety niezamężne w Anglii.

Na całej kuli ziemskiej tak mężczyźni, jak kobiety, wiedzą dobrze, iż zawieranie małżeństw staje się coraz trudniejsze. Przeszkody na drodze do ołtarza piętrzą się coraz wyżej i wyżej, zwłaszcza finansowej natury; niepodobna zaś przypuścić, aby wzrastająca wciąż liczba hołdowników (z musu, czy z dobrej woli) celibatu nie wywierała pewnego wpływu na ustrój ogółu.

Anglia jest krajem, w którym najsilniej daje się odczuć wpływ „tłumów bezżennych“ na ogół. Tam właśnie liczba kobiet niezamężnych „spinsters“ jest olbrzymia, zwłaszcza wśród mieszczaństwa średnio zamożnego. W każdej prawie rodzinie znaleźć można po parę, a często nawet kilka starych panien, a wszystkie one razem wzięte tworzą klasę społeczną bardzo silną, której wpływu pomijać nie podobna.

Rozliczne są takiego stanu rzeczy przyczyny: najważniejszą z nich jest przewaga liczebna ludności żeńskiej nad męską, przewaga, wywołana przez emigracyę. Kwiat młodzieży wyjeżdża do kolonii amerykańskich, indyjskich i australskich, a każdy wyjeżdżający zmniejsza liczbę kandydatów do stanu małżeńskiego. Nadto coraz cięższe z roku na rok warunki ekonomiczne wpływają na zmniejszenie się liczby małżeństw: utrzymanie rodziny kosztuje drogo, mężczyzna czeka na chwilę, aż dorobiwszy się jakiej takiej fortunki, będzie mógł otoczyć ukochanych swoich w rodzinie pewnemi wygodami, ale często chwila ta przychodzi dopiero w wieku dojrzałym, wówczas, gdy jak mówi przysłowie: „Chleb jest, ale zębów niema, któreby go gryzły.“

Naturalnym skutkiem takiego stanu rzeczy jest wtargnięcie kobiety na

wszystkie pola działalności społecznej, na których dotychczas mężczyźni mieli monopol wyłączny. Żegnając się na zawsze z najgłówniejszemi zadaniami kobiety, z królowaniem przy domowem ognisku i z macierzyństwem, rozwijają w sobie natomiast niewiasty cechy odrębne. Są one w wielu razach podobne do robotnic w ulu: są tak, jak one, inteligentne, czynne, odważne, wyższe częstokroć od osobników rodzaju męskiego. Otóż te robotnice-kobiety wnoszą w życie wielkie zasoby siły, która im zapewnia niekiedy zupełne zwycięstwo. Zapytajcie kupców lub przemysłowców angielskich, którzy dają pracę tym licznym kobietom niezamężnym: powiedzą wam, że stare panny są nieporównane, jako pracownice. W ten sposób wytwarzają poważną konkurencyę zarówno mężczyznom, jak i kobietom.

Ale stałe wzmaganie się kobiet przymusowo niezamężnych w Anglii ma także i wiele stron dodatnich. Nie mogąc praktykować miłości przy domowem ognisku i nad kolebką niezamężne kobiety angielskie dają ujście potrzebie swej natury, praktykując na najszerszą skalę — miłosierdzie. Anglia w samej rzeczy jest w chwili obecnej krajem, gdzie instytucye filantropijne do olbrzymich dochodzą rozmiarów. Pomimo to dobroczynność przybiera w Anglii rozmiary nadzwyczajne, dzięki właśnie tym „spinsters,“ starym pannom.

We wszystkich prawie instytucyach filantropijnych znajdziecie stare panny, pracujące z zapałem i z zaparciem się siebie. One to kierują instytucyami, wyszukują funduszów, starają się zarówno o zniesienie niewolnictwa w koloniach, jak o udoskonalenie urządzeń domów zdrowia, przytułków, schronień, Anglia pełna jest sióstr miłosierdzia, które nigdy ślubów nie czyniły. Pod tym względem kobiety niezamężne zachowały wszystkie dodatnie cechy swej płci i wszystkie przymioty płci silnej. Siła fizyczna idzie tu w parze z łagodnością dotknięcia ręki. Jest to bodaj najpiękniejsze zadanie, które stworzyła sobie kobieta angielska, gdy ją warunki społeczne zmusiły do wyrzeczenia się macierzyństwa.

Nad prawdą wyrazu niech człowiek, jak chce sofizmuje, zawsze prawda ducha górować będzie; nie ten gatunek zboża się przyjmie, który choć z najlepszych spichrzów dla drugich zasiejemy, ale ten, który w nas samych się rodzi.

Narcyza Żmichowska.

Pogadanka naukowa.

Wpływ mrozu na rośliny i zwierzęta.

Granice temperatur, w których życie roślinne może się utrzymać, są bardzo rozległe. Bakcyle dżumy nie ginęły, kiedy je przez trzy miesiące trzymano w temperaturze 31° C. poniżej zera, bakcyle dyfteryi wytrzymują zimno 60°, bakcyle gruźlicy wychodziły cało po jednogodzinnem działaniu 100° zimna, ginąc dopiero przy 160°. Ale rekord zyskały kuliste bakterye, wywołujące ropienie, które nie ginęły przy 252° C. poniżej zera. W przeciwstawieniu do tych jednokomorowych istot roślinnych, są rośliny wielokomórkowe bardzo wrażliwe na zimno. Niektóre rośliny już po dłuższem działaniu 0° do 3° poniżej zera chorują i zwykle, skutkiem zaburzeń w przemianie materyi, giną. W tych wypadkach właściwie nie samo zimno działało zabijająco, ale jego następcze objawy. Zimno zabija bezpośrednio życie roślinne dopiero przy większej liczbie stopni; wtedy jednakże wystarcza kilkuminutowe trwanie mrozu, ażeby zniszczyć roślinę.

Zajmujące szczegóły o działaniu mrozu, na rośliny podał znany botanik Rein w „Jahrbücher für Naturwissenschaft“. Drogą doświadczeń stwierdził Rein, że każdy rodzaj roślin ma swój ściśle oznaczony punkt śmiertelnego mrozu, ale że te punkty są od siebie dosyć znacznie oddalone. I tak: liście i zielone pędy begonii giną przy 2,2° C. poniżej zera, drzewa oliwne przy — 4,1°, fiołki przy — 9,3°. Wogóle rośliny nasienne mogą żyć jeszcze przy — 14°, przy temperaturze niższej giną. Mchy giną przy teperaturze 14° do 19° poniżej zera, niższe rośliny, żyjące w wodzie, wytrzymują temperaturę — 15,5°, żyjące zaś na lądzie temperaturę — 31° C. Bakterye, jak wspomnieliśmy na początku, wytrzymują nadzwyczajnie silne zimno.

Rein twierdzi, że rośliny mogą w pewnej mierze stosować się do zimna, to znaczy niejako przyzwyczajać się do temperatury niższej niż ta, przy której z reguły marzną. Już Apelt w ubiegłym roku stwierdził, że złożone w cieple ziemniaki następnie łatwiej marzną, niż ziemniaki, przechowane w chłodzie. Ziemniaki, trzymane przez cztery tygodnie w cieplarni, marzły i ginęły następnie przy 2,1° C. poniżej zera, gdy natomiast ziemniaki, trzymane w komorze, gdzie temperatura wynosiła tylko 9° do 4° C., znosiły dobrze 3° poniżej zera. Wogóle rośliny, żyjące w strefie umiarkowanej i zimnej, posiadają właściwość przystosowania się do zimna, oczywiście do pewnej nieprzekraczalnej granicy. Rośliny podzwrotnikowe właściwości tej nie posiadają. Z tego wynika, że przystosowanie to nie jest cechą wrodzoną, ale nabytą.

Rośliny stref zimnych i umiarkowanych zachowują się tak, jak zwierzęta zimnokrwiste, a właściwie posiadające krew o zimnej temperaturze, jak n. p. ryby i żaby. Gdy woda jest ciepła, to równie ciepłą jest krew ryby; gdy woda jest zimna, to oziębia się krew ryby. A gdy woda zamarza? Czy także zamarznie krew ryby? Daje na to odpowiedź angielski podróżnik sir John Franklin, który część zimy z roku 1820 na 1821 przepędził pod 64 i pół stopnia północnej szerokości i podał później następujące szczegóły:

„Znajdowaliśmy się przed fortem „Entreprise.“ Termometr wskazywał 27° zimna. Złowione ryby zamarzały już po wyjęciu ich z sieci, przemieniając się szybko w zlodowaciałe bryły. Trzeba je było rąbać siekierą. Ale gdy odtajały przy ognisku, żyły znowu. Zwłaszcza z karpiami tak było. Jeden z karpi po 36 godzinach, spędzonych w stanie zamarznięcia, odżył po odtajaniu i rzucał się, jak gdyby został świeżo z wody wyjęty.“

To nie są bajki marynarskie, gdyż przed 4 laty podobne spostrzeżenia ogłosił Rieger w „Oesterreichische Fischereizeitung,“ przedsięwziąwszy doświadczenia na złotych rybkach. Podobne doświadczenia wykonali Whitney i Pictet, a Mullor-Erzbach zupełnie zamarznięte żaby umieszczał na 14 godzin w sztucznej temperaturze mieszanej od 9 do 28° C., poczem powoli i ostrożnie wywoływał tajanie. Po dwóch godzinach żaby zaczynały oddychać, a dalsze kilkotygodniowe spostrzeżenia nie wykazały żadnych złych skutków. Na wolności zwierzęta owe nie są narażone na tak drastyczne zmiany temperatury. Niektóre owady kryją się w ziemi, gdzie są z reguły zabezpieczone przed mrozami. Czasami co prawda, i do tych kryjówek dostaje się mróz, gdy ziemia zamarznie na głębokość jednego metra, ale temperatura w tej głębokości nie sięga poniżej 6 stopni pod zerem. Takie zimno przeważnie wytrzymują ukryte w ziemi owady. Giną niektóre osobniki, ale dosyć ich pozostaje jeszcze, ażeby zapewnić dalszy byt i dalsze mnożenie się gatunku.

Inne zupełnie granice zimna ma życie zwierząt ciepłokrwistych, to jest ptaków i ssaków. Temperatura ich

krwi jest niezawisła od temperatury otoczenia i wynosi normalnie 37 do 40°, czy w powietrzu jest zimno, czy ciepło. Gdy nadejdzie zima, zwierzęta otrzymują nowe uwłosienie, względnie upierzenie, gęstsze i większe, niż w lecie, a więc chroniące lepiej od zimna. Ubywaniu cieplika zapobiega w dalszym ciągu zmniejszony przypływ krwi do skóry, przedewszystkiem zaś zwiększona produkcya ciepła, skutkiem przyśpieszonej przemiany materyi. Dopiero gdy podczas srogiej zimy braknie dostatecznej ilości pożywienia, stworzenia owe nie mogą w organizmie swoim wytworzyć należytej temperatury krwi, skutkiem czego giną. Wystarczy, ażeby temperatura krwi spadła do 18 stopni ponad zero, a już następuje śmierć zwierzęcia, chociaż 18 stopni ciepła w otaczającem powietrzu jest bardzo miłą temperaturą.

Wyjątek stanowią zwierzęta, przesypiające zimę, jak nietoperz, jeż, borsuk i t. d. Dopóki własna ciepłota ich ciała nie spada poniżej 32° zimno działa na nie w ten sposób, że pobudza przemianę materyi. Gdy jednakże rtęć w termometrze opadnie do 6° powyżej zera, krew ich szybko się oziębia, prawie aż do granicy, otaczającej temperatury. Wtedy przemiana materyi spada na jedną dwudziestą piątą, a nawet na jedną setną część normalnej ilości i zwierzęta zapadają w sen letargiczny, który obok zmniejszonej działalności serca, zmniejszonego oddechu i krążenia krwi, odznacza się prawie zupełnym zanikiem działalności nerwów i mózgu. W tym stanie krew może w dalszym ciągu oziębiać się aż do 2° ponad zerem bez szkody dla zwierzęcia. W chwili, gdy własna ciepłota ubywa dalej, skutkiem czego grozi niebezpieczeństwo, że spadek temperatury do zera spowoduje zamarznięcie krwi, zwierzę budzi się i nasuwa się uwaga, że u zwierząt, podobnie jak u roślin, wrażliwość na zimno wzrasta w miarę wyższości rozwoju organicznego. Żaby i ryby opierają się skutecznie niskim temperaturom, gdy zwierzęta ssące giną, skoro temperatura krwi spadnie poniżej 19° ciepła. Granicy tej nie może przekroczyć także ciało ludzkie.

Czem człowiek jest wyższy i ma większe znaczenie dla ludzkości, tem silniej wiąże się z rasą, która go wydała. Najwięksi ludzie są zawsze najwierniejszymi przedstawicielami narodowości, do której należą.

Maryan Sokołowski.

* * *

Z dziedziny hygieny.

Gruźlica.

Gruźlica jest chorobą całego organizmu, lub tylko pewnego narządu, powstaje zaś wskutek zakaźnego działania bakteryi gruźliczych, powszechnie tuberkulicznemi zwanych. Znaczenie jej zależy od szybkości rozplenienia się bakteryi, a głównie od ważności i znaczenia zaatakowanego narządu. A ponieważ wszystkie niemal narządy ciała ludzkiego mogą podlegać działaniu tych zarazków, przeto rozróżnia się gruźlicę n. p. płuc, kości, nerek, mozgu i t. p. Dla nas, jako największej ofiar zabierającą a tem samem najważniejszą, jest gruźlica płuc, znana pod nazwą suchot płucnych. Wspomniane bakterye dostają się do płuc z powietrzem, lub przez kanał pokarmowy wraz z pokarmami. Szczególniej mleko i mięso, pochodzące od krów, chorujących na perlicę, udziela ludziom tej zarazy. Niekiedy bakterye gruźlicze, lęgną się także w mięsie kur i świń. Najczęstszym atoli ogniskiem zarazy jest sam człowiek. Nie na wszystkich ludzi zarazek ten z jednaką działa siłą; niektóre osoby szczególniejszą mają skłonność do przyjęcia go i rozwoju a dziedziczność usposabia właśnie do tej skłonności, którą zwiększają nadto wszelkie niehygieniczne warunki jak stałe przebywanie w złem powietrzu, w kurzu, złe odżywianie, zbytnia ilość mieszkańców w pokojach, wilgoć, brak światła i t. p. Płuca osłabione chorobami są bardzo skłonne do przyjęcia zarazka gruźliczego.

Nareszcie istnieje pewna budowa ciała, zdradzająca skłonność do suchot — osobniki takie są wysokiego wzrostu, wybujali, a pierś mają wąską i płaską; kości ich słabe, mięśnie nie rozwinięte, ciało chude, a skóra wiotka i blada. Suchoty rozwijają się zazwyczaj w czasie dojrzewania płciowego lub w pierwszych czasach dojrzałości t. j. pomiędzy 14-tym a 30-tym rokiem. U dzieci i starców gruźlica płuc rzadko się zdarza. Pierwszym objawem jest katar w górnych częściach. Objawem jego jest kaszel, krótki i suchy z początku, z czasem zaś lekki i wilgotny. Plwocina bardzo często jest zabarwiona na różowo wskutek domieszki krwi. Bolów chorzy nie doznają, lub bardzo nieznaczne. Bardzo podejrzanemi objawami są poty nocne i nagłe, a żadną inną przyczyną nie dające się wytłomaczeć schudnienie osobnika. Prócz tego występuje gorączka, szczególniej wieczorami i długotrwałe rozwolnienie. Pewien rodzaj suchot zwany galopującemi, przebiega w czasie 2—3 miesięcy śmiertelnie skutkiem upadku sił, gorączki i krwotoków płucnych. Przeważnie atoli suchoty trwają długo a nawet są wyleczalne, jeżeli tylko wcześnie i racyonalnie się je leczy, w wielu atoli wypadkach wyleczenia nie ma wprawdzie, lecz choroba wstrzymuje się w rozwoju, stan ogólny się poprawia i życiu chorego przestaje grozić niebezpieczeństwo. —

Leczenie polega głównie na zapobieganiu. To też pamiętać należy, iż plwocina suchotników jest głównem źródłem zarazy. Chory nie powinien pluć byle gdzie, lecz zawsze do specyalnych naczyń, napełnionych 5% roztworem kwasu karbolowego. Osobniki do suchot skłonne, należy wzmacniać. Pobyt w dobrem powietrzu, odpowiedni zawód, dobre odżywianie, mięśniowa działalność, wzmacniająca klatkę piersiową, zdołają ochronić także osoby od nabycia zarazku. Niektóre z objawów wymagają atoli szczególnego leczenia. I tak: kaszel zwalczamy napojami ślazowemi, wodą selcerską z mlekiem, kokainą lub morfiną; przeciw potom nocnym zalecamy wycieranie ciała odpowiednimi środkami; przy gorączce trawiącej wzmacniamy chorego winem, koniakiem i t. p. Podana przez prof. Dra Kocha w r. 1891 tuberkulina nie odpowiedziała wprawdzie pokładanym w niej nadziejom ale ma ważne dla nauki i sztuki lekarskiej znaczenie, wskazała bowiem uczonym drogę, na jakiej uda się skutecznie walczyć z bakteryami, a mianowicie sposób niszczenia tych organizmów produktami, wydzielanymi przez nie same.

Z bieżącej chwili

Rezygnacya Dmowskiego.

Prezes Koła polskiego w Dumie petersburskiej, p. Roman Dmowski, zrezygnował ze swego stanowiska. Z rezygnacyą więc Dmowskiego liczyć się trzeba, jako z faktem dokonanym, i wysnuwać z tego wypadku odpowiednie wnioski polityczne. (Patrz „Przegląd prasy“.)



Roman Dmowski.

Pan Dr. Felicyan Niegolewski. wybrany został dnia 6-go bm. posłem do parlamentu niemieckiego z okręgu śremsko-średzkiego w miejsce dra Alfreda Chłapowskiego, który mandat złożył. Głosowało ogółem 17,944 wyborców. Kandydat Polaków otrzymał 13,919, kandydat niemiecki radca Ziem-



Dr. Felicyan Niegolewski.

stwa kredytowego, v. Guenther z Grzybna, 4009 głosów. Rozstrzelonych było 8.

Przy wyborach głównych w roku 1907 padło na polskiego kandydata 14,668, na niemieckiego 4187 głosów. Udział więc przy wyborach uzupełniających z polskiej strony był znacznie mniejszy, a z niemieckiej nieco większy niż przed dwoma laty.

Nowe książki i treść pism.

Ks. Dr. Kazimierz Zimmermann: Uregulowanie prawne umów taryfowych w Niemczech. Referat, wygłoszony d. 27. 10. 1908. na posiedzeniu wydziału ekonomiczno-prawniczego Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Nakład autora. Czcionkami Drukarni i księgarni św. Wojciecha. 24 stronnice druku.

Treść: Pojęcie umowy taryfowej. Jej rozwój historyczny. Literatura prawnicza o umowach taryfowych. Obecny stan umów taryfowych wedle statystyki ces. urzędu statystycznego. Znaczenie umów taryfowych pod względem społecznym i gospodarczym. Podstawy prawne umów taryfowych. Obecny stan prawny umowy taryfowej. Widoki na przyszłość.

Praca ta napisana jest umiejętnie, interesująco i treściwie. Osobom zajmującym się kwestyami społeczno-ekonomicznemi gorąco ją polecamy.

* * *

Ks. Tadeusz Trzciński: Przewodnik po pamiątkach Gniezna. Poznań. Nakładem i czcionkami Drukarni i księgarni św. Wojciecha. 1909. Cena 1.25 m.

Książka ta zawiera treściwy na naukowych badaniach oparty opis katedry gnieźnieńskiej wraz z jej licznemi kaplicami, tudzież opis innych kościołów gnieźnieńskich i ich zabytków. Dziełko to powinno się znaleść w ręku wszystkich miłośników sztuki kościelnej. Stanowi ono cenne pomnożenie odnośnej literatury. Szczególnie polecić je należy kształcącej się młodzieży, nie mówiąc już o Szanownem Duchowieństwie, dla którego książka ta ma zupełnie specyalną wartość, podając w zwięzłej formie ostatnie wyniki badań, dotyczących wykładanego przedmiotu.

* * *

W setną rocznicę. Macierz Polska chcąc rozpowszechnić znajomość dzieł Słowackiego w najszerszych kołach, wydała książkę p. t. *„Juliusz Słowacki, żywot i wybór pism“*. Żywot skreślił docent Uniwersytetu lwowskiego, dr. Konstanty Wojciechowski. Na wybór złożyły się: Hymn (Bogarodzica), Pieśń legionu litewskiego, Jan Bielecki, Balladyna, Ojciec Zadżumionych, Smutno mi Boże, Pieśń konfederatów barskich, Modlitwa, Rozmowa z Matką M. Mieczysławską, Testament. Trudniejsze miejsca objaśniono. Tekst ilustrowany 10 rycinami. Książka liczy 350 stron, cena jej 1 korona.

* * *

Ruchu chrześciańsko-społecznego ukazał się zeszyt 9-ty i zawiera:

X. K. J. Kantak. Musee social. — S. Pr. Początki polityki socyalnej w Turcyi. — D. Kiloński. Socyalna obrona matek. — Materyał do wykładów i nauk: P. Pruski. O uprawnieniu własności prywatnej. (Dokończenie). — Filozofia chrześciańska. — Leon XIII. (Rerum Novarum). — Uzasadnienie z prawa natury — i z użyteczności społecznej. — Ruch ekonomiczno-społeczny: Dom ludowy w Warszawie. — Projekt nowego prawa o izbach robotniczych. — Ucieczka robotnika wiejskiego w Niemczech do miast. — Liczba kobiet zamężnych w Niemczech pracujących zawodowo. — Z ruchu socyalistycznego: „Jak powinni socyaliści wychowywać swe dzieci?“ — Socyalna obrona prawna: Zasadniczy wyrok w sprawie prywatnych kas zapomogowych. — Wiadomości literackie: Dr. Heilborn. Die „freien“ Gewerkschaften seit 1890. — „Prąd,“ miesięcznik społeczny i literacko-naukowy w Warszawie.

* * *

Nowe wydawnictwa pocztówek. Przed miesiącem zawiązała się w Krakowie Spółka przedsiębiorców, którzy pod firmą „Wisła,“ przystąpili na wielką skalę do wydawania illustrowanych kart pocztowych z wyłącznem uwzględnieniem obrazów artystów polskich.

Jako pierwszy plon swego przedsięwzięcia „Wisła“ wydała seryę 20 kart, które już znajdują się w handlu. Znajdujemy tam niezwykle artystyczne reprodukcye obrazów Juliusza i Wojciecha Kossaków, Józefa Męciny Krzesza, Vlastimiła Hoffmanna, Piotra Stachiewicza i Wincentego Wodzinowskiego. Reprodukcye wykonane w kolorach, zalecają się czystością odbicia, doskonałym wyborem motywów malarskich, dających już to w całości, już to w częściowych fragmentach wyborowe kopie najcelniejszych obrazów wymienionych artystów.

Wydawnictwo „Wisła“ powierzyło wykonanie kart krakowskiemu zakładowi T. Jabłońskiego, który z zadania wywiązał się wybornie. Klisze i odbicia p. Jabłońskiego nie ustępują w niczem kliszom zakładów zagranicznych, które przeważnie pracują dla naszych konkurencyjnych zakładów. Wobec tego usiłowania krajowego przedsiębiorstwa, dostarczającego zarobku polskim artystom i polskiemu przemysłowi, znaleść winny życzliwe poparcie społeczeństwa. Cena kart w stosunku do ich wartości artystycznej jest przystępną. (14 hal.)

NASZE RYCINY.

Louvre w Paryżu — dzień pochmurny. Jako albumową rycinę dajemy piękną reprodukcyę olejnego obrazu p. Stefana Sonnewendta, przedstawiającą Louvre paryski w dzień pochmurny. Oryginał wystawiony był w Salonie Sztuki przy ul. Bismarcka i powszechnem cieszył się uznaniem.

Pan Stefan Sonnewendt należy do młodszego pokolenia naszych artystów malarzy, wśród których zajmuje poczestne miejsce dzięki swemu wybitnemu talentowi i niepospolitej technice artystycznej. Urodzony r. 1885 w Poznaniu, wydalony został wraz z rodzicami na mocy osławionego ukazu Bismarckowskiego. Wychowany w Wiedniu, ukończył tamże szkołę graficzną, poczem spędził 4 lata na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, którą opuścił odznaczony srebrnym medalem. Studyował dalej w Dreźnie i Monachium, a głównie w Paryżu, mając stypendyum księżnej Adamowej Lubomirskiej oraz zapomogę wiedeńskiego ministerstwa oświaty. Sonnewendt, którego twórczość wykazuje wpływy Velasqueza, głównie jest portrecista, lecz próbował swych sił także z powodzeniem w dziedzinie pejzażu. Obecnie bawi w Poznaniu, gdzie maluje szereg osób ze świata literackiego i artystycznego.



Stefan Sonnewendt.

Louvre w Paryżu. — Dzień pochmurny.

Album „Pracy“.

Drukiem „Pracy“.



Ludwik Walesiak,

chłop bohater.

Było to w maju 1863 r., o kilka mil od Warszawy. Nieopodal od wsi Chobot (gubernia warszawska, pow. nowomiński, gmina Dębie-Wielkie) stanął w lesie oddział powstańców pod dowództwem Janikowskiego.

Kilku chłopów z tej wsi nieśli co mogli do obozu powstańczego. Jedni żywność wszelkiego rodzaju, drudzy proch, ołów, lub jaką strzelbinę przechowywaną w strzesie. Pewien chłop, nazwiskiem Walesiak, wybierając się właśnie z temi zapasami do obozu, rzecze do swego syna Ludwika, chłopaka, lat około 20: „Chcesz widzieć nasze wojsko, to chodź ze mną“. Ludwikowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Rzuca woły, któremi orał kawał ojcowskiego pola pod lasem i biegnie razem z ojcem do obozu, gdzie nasyca swój wzrok widokiem strzelców, kosynierów i kawaleryi narodowej. Po niejakim czasie wraca do swoich wołów, bierze sochę w rękę, gdy naraz zostaje otoczony przez kozaków, w liczbie kilkunastu.

Dowodzący nimi oficer zwrócił się do Walesiaka z zapytaniem:

— Gdzie miateżniki?

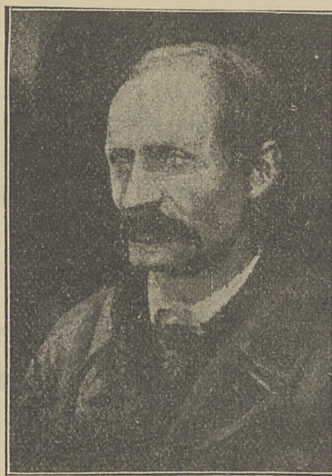
— Nie wiem — odrzekł Walesiak.

— Kłamiesz! wiesz, boś tylko co wyszedł z lasu; myśmy cię stamtąd idącego widzieli; wreszcie stary chłop, któregośmy przed chwilą spotkali, mówił nam, żeś ty wrócił z obozu.

— Nie byłem, nic nie wiem i nic nie widziałem — twierdził Walesiak.

W odpowiedzi na to oficer kozacki ściągnął Ludwika nahajką i kiedy nie przestawał upewniać, że nic nie wie i nic nie widział, kazał go swoim kozakom okładać nahajkami. Rozkazu nie potrzebował powtarzać, bo wiadomo, że kozak zawsze rad z nahajką poigrać. Zaczęło się tedy niemiłosierne katowanie Walesiaka. Bito go nietylko po plecach, ale i po głowie i po twarzy. Z początku o ile mógł nieszczęśliwy zasłaniał się od ciosów, wymierzonych w twarz, rękami, lecz kiedy te osłabły, dostało się i twarzy i głowie, z której czapka dawno już spadła. Nareszcie na znak oficera, kozacy zaprzestali katowania.

— No, widzisz, do czego upór ciebie doprowadził, a wszystko to bez żadnej korzyści; ot, lepiej powiedz, gdzie są Polacy, to nie będziesz bity i oprócz tego zostaniesz jeszcze nagrodzony.



Ludwik Walesiak, chłop bohater.

To mówiąc, wydobył z zanadrza pugilares, a z niego paczkę asygnat i te wtłaczając w pobite nahajkami ręce Walesiaka rzekł:

— No, bierz pieniądze i mów prędko, gdzie stoją Polacy?

Walesiak wstrząsnął rękami i od przyjęcia pieniędzy odmówił się.

— Ja nie chcę pieniędzy, nic nie powiem, bo nic nie wiem i nic nie widziałem.

Ten bezprzykładny upór chłopa, w którego sercu istnienia jakichś szlachetniejszych pobudek oficer kozacki ani na chwilę nie przypuszczał, podniecił wybuch jego dzikiego gniewu: zeskoczył z konia, pochwycił Walesiaka za głowę i obaliwszy na ziemię zaczął go na wszystkie strony kopać nogami i naostatek kazał kozakom narzucić mu na szyję postronek, zadzierzgnięty na pętlę i usiadłszy na konie jechać za nim do pobliskiego lasu. Zmordowany poprzedniem katowaniem Walesiak, ciągniony na postronku za szyję po roli i nierównościach gruntu, nie mógł nadążyć jadącym kozakom, to też nieraz padał na ziemię, a szarpany i duszony znowu zrywał się na nogi i ile mu sił starczyło biegł za kozakami. Stanęli na wzgórku skraju lasu. Zdala z poza drzew widać było gęsto rozwijające się szeregi wojska rosyjskiego; dolatywał nawet niewyraźny daleki gwar głosów ludzkich i rżenie koni, a tuż prawie u podnóża wzgórka, może o jakieś paręset kroków, w lesie stał oddział wojska polskiego, złożony w części z piechoty, w części z kawaleryi, liczący zaledwie około 200 ludzi. Była to część liczniejszego oddziału polskiego, rozbitego w lasach około Wiązowny pod dowództwem Jankowskiego.

Właśnie na tę garstkę rozbitków od strony wsi Długiej-Kościelnej nadciągnęły liczne oddziały wojska rosyjskiego z baterya artyleryi. Również w Okónniewie, miasteczku, leżącem stąd o wiorst kilka, stał tegoż wojska pułk cały. Gdyby podjazd kozacki, w którego ręce wpadł Walesiak, zdołał dowiedzieć się, w jakim mianowicie punkcie ukrywali się Polacy, osaczenie ich mogłoby nastąpić najzupełniejsze, a to pociągnęłoby za sobą porażkę doszczętną, bo niepodobna, aby 200 ludzi, licho uzbrojonych i źle wyćwiczonych, mogło stawić skuteczny opór sile 8 armat i całego pułku wojska regularnego.

Oficer kozacki, w którego ręku był nieszczęśliwy Walesiak, prawdopodobnie oceniał dobrze ważność chwili i jednocześnie był przekonany, że w osobie Walesiaka, czyli raczej w jego zeznaniu, ma niezmiernie bogaty materyał do pozyskania nagrody dla siebie w postaci rangi i orderu. Jedno Walesiaka słowo, jedno wskazanie palcem ręki w kierunku, gdzie byli ukryci Polacy, mogły spełnić marzenia dzikiego kozaka. Tymczasem ten mizerny chłopina, przyjmując na swoje ręce, plecy i głowę niezliczoną moc nahajków, odrzucając gwałtem wpychane w jego ręce pieniądze, w niwecz obraca tak gorąco pożądane szczęście. Taki upór, albo też siła charakteru chłopa, przechodząca pojęcie kozaka, doprowadza go do wściekłości. Znowu zeskakuje z konia, znowu kopie go nogami i zapowiada w końcu, że jeśli zaraz nie powie, gdzie są Polacy, to w tej chwili będzie powieszony. Jakoż istotnie, gdy jeszcze raz posłyszał z ust Walesiaka te same ciągle przez niego powtarzane słowa: „Nic nie wiem, nic nie widziałem.“, każe go kozakom wieszać. W moment rozkaz został spełniony. Walesiak, nawpół już nieprzytomny, zawisł na gałęzi drzewa na tym samym postronku, na którym

go na wzgórek przywleczono. Po dokonaniu egzekucyi, kozacy w tej chwili puścili się pędem i znikli w zaroślach. Ale oprócz oczu Opatrzności, czuwały nad dzielnym chłopcem jeszcze oczy dwóch stojących w ukryciu za drzewem na pikiecie powstańców, strzelca i kosyniera. Ostatni, po zniknięciu kozaków, nie tracąc chwili, poskoczył do wisielca i jednem cięciem kosy po postronku wczas jeszcze ocala mu życie, pozostawiając go już wreszcie własnemu losowi, gdyż sami musieli podążać za szybko umykającym oddziałem. Co się potem stało opowiada sam Walesiak temi słowy: „Po pociągnięciu na gałąź straciłem przytomność. Jak długo trwał taki stan — nie wiem. Z powrotem przytomności poczułem odrętwienie we wszystkich członkach ciała, ból i szum w głowie i suchość w gardle. Z wielką trudnością podniosłem powieki i pierwszą rzeczą, którą ujrzałem, to był postronek wiszący na drzewie. Na widok jego okropny mnie strach ogarnął, zerwałem się, aby stamtąd uciekać, ale zaraz upadłem i zdaje się znowu zemdlałem, potem zacząłem czołgać się, po ziemi, ustawałem, chwytałem się za drzewa i ciągle z największym wysiłkiem to pełzłem, to przewracając się szedłem w stronę domu. W ręku nie miałem tyle nawet siły, aby rozgarnąć na czole włosy, które krwią się zlepiły i zakrywały mi oczy. Nietylko twarz cała, ale i głowa były zbroczone we krwi. Nareszcie po długiej pracy dowlokłem się do domu, gdzie przez kilka tygodni przeleżałem ciężko chory. Włosy mi z głowy wypełzły i skóra z twarzy zlazła, a ból w krzyżu, szczególnie w karku, długo mi jeszcze dokuczał. I teraz, nawet po 40 latach, od czasu do czasu ten ból się powtarza, choć w całem ciele czuję się być mocnym. Rząd Narodowy, dowiedziawszy się o pokrzywdzeniu mię przez kozaków, przysłał mi 300 złotych na kuracyę i nadto pismo.“

Dokument ten, w czasach niebezpieczniejszych przechowywany przez Walesiaka w butelce, zakopanej w ziemi, jest następujący:

Rząd Narodowy
Wydział spraw wewnętrznych
Nr. 396/126

Warszawa, d. 28 czerwca 1863 r.

Do Ludwika Walesiaka
Z Dębego-Wielkiego.

Szlachetny czyn Twój, Bracie, doszedł do wiadomości Rządu Narodowego. Postąpiłeś tak, jak przystoi na uczciwego i odważnego człowieka: wolałeś śmierć ponieść, niż zdradzić swoich braci i dlatego, pomimo okrucieństwa Moskali, nie wskazałeś im miejsca, gdzie było wojsko polskie. Toć Bóg sam widząc Twoje poświęcenie, zesłał ci ratunek i ocalił Cię od śmierci na to, ażeby dać dowód Tobie i innym, że czuwa nad nami i otacza swoją opieką tych, co gotowi są poświęcić siebie dla ocalenia Ojczyzny z niewoli, wie o wszystkiem, co się w kraju dzieje i o Tobie też dowiedział się, chociaż Ty nie myślałeś pewnie o tem, że Twoje imię do niego dojdzie. Rząd wie także i o tem, że Moskale pastwili się nad Tobą i pokrzywdzili Cię na zdrowiu i dlatego posyła Ci 300 złotych, abyś się miał za co wyleczyć. Pieniądze te dane są Tobie nie w nagrodę za Twój uczynek, bo za poczciwość nikomu się nie płaci, każdy powinien być uczciwym, dlatego tylko, że tak Pan Bóg przykazał, i że tak mu sumienie nakazuje; pieniądze posyłają Ci się na koszta kuracyi, a dla Ciebie na pamiątkę niech będzie to pisanie nasze, które zachowaj sobie, ażebyś kiedyś, jak ci Pan Bóg pobłogosławi, mógł swoim dzieciom wskazać przykład, jak należy Ojczyznę i braci kochać i wiernie im służyć. *M. P.*

Walesiak obecnie (1909 r.) ma 68 lat, zajmuje się gospodarką, a ponieważ nie może z ziemi wyżywić licznej rodziny, przeto zarabia jako cieśla. Ma 3 synów i doczekał się wnuków. Słynie z uczciwości, moralności i jest ogólnie szanowany.



ZIEMIA.

I umarła... biały płaszcz okrywa jej ciało... cicha, spokojna, na wszystko nieczuła.

Nie ma piękniejszej i nie było nad ziemię naszą, nad tę boską naturę.

Kiedy wiosna krasi jej lica, to żadna dziewczyna nie dorówna wdziękami, nie dorówna młodością tej ziemi polskiej, tej krasowicy naszej.

Latem dojrzewa i poważnieje — jesienią owoce wydaje — a teraz spoczywa nieboga, białym całunem okryta, jakby pierzem puszystem, lub białem futrem.

Odpoczywa po życiu czynnem i owocnem, aby pod dotknięciem wiosny czarodziejki wstać, otrząść się ze śniegu i panować na nowo.

Takie to i nasze życie. I my przeżywamy wiosnę i dla nas lato jest znanem, i jesień ku schyłkowi zawita, i zima utuli w grobie, i wreszcie tak, jak ziemia odradza się wiosną, tak i my młodem pokoleniem.

Eliza Orzeszkowa.

DO NIEJ!

Kocham Cię w zapachu świeżo zoranej ziemi, w śpiewie ptaków, w szeleście kłosów, w szumie lasów, w mgłach nad łąkami, w dźwiękach fletni pastuszych nad skrajami łąk...

Kocham Cię w sklepieniach z krzyżów przydrożnych, w samotnych gruszach polnych, w śniegach białych, w dyamentach szronu, w rubinach zachodu, w świtach sinych i w gwiaździstych nocach...

Kocham Cię w sklepieniach z chmur, które stropy posępne budują nad gorejącym bronzem Twych jesieni, w gwiazdach i falach, we wrzosach i różach, w obłokach i echach, w tajemniczem piśmie drobnych zmarszczek, któremi wiatry okrywają rozłogi Twych piasków i w niezliczonych bróżdach, któremi łono niw Twoich wyrzeźbiają lemiesze oraczy.

Kocham Cię w ludzkich nadziejach, marzeniach, westchnieniach, złotych snach i kamiennych dolach, w dźwięczeniu jak stal i jak stal giętkiem brzmieniu Twojej mowy, w żórawim łańcuchu Twych wielkich duchów rycerskich i śpiewnych...

Lecz nadewszystko, najsilniej, najwierniej, najrzewniej, kocham Cię w Twem nieszczęściu.

Gdybyś była okryta purpurą, uwieńczona koroną, opromieniona blaskiem, bijącym z chwalby wszechstworzeń, gdybyś na wozie upowitym w tęczę i zaprzężonym w słoneczne rumaki, pod obłokami święciła dzień tryumfu, na klęczki przed sobą rzucając wszystko co żyje, możebym Cię odeszła i szukała daleko słońca wiecznego, kwiatów-cudów i duchów-aniołów...

Ale oblicze Twoje pociemniało od smutków, szaty żałobne, klejnoty skruszone, tryumf w przepastnych oddalach przyszłości...

Więc u Twego poranionego łona zawieszam swą duszę, do zmęczonych stóp Twych czoło pochylam i Twoje pochmurne niebo przekładam nad słońce, które w płomiennych tryumfach przebiega gwiaździste kobierce przestworzy...

I zebrać pragnę we wszystką siłę, we wszystek blask, we wszystką potęgę nieba i ziemi, i wiosny, i zimy, aby dzwonieniem skowronków i śpiewem słowiczym, szmerem traw, wonią i szeptem gromów i krzykiem serca, które cierpi i kocha zawołać: Jestem sługą Twoją...

Kocham Cię!



Trzej królowie a korona polska.

Wielki nasz poeta, Juliusz Słowacki, umieszcza w utworze swoim pod tytułem: „Balladyna“, napisanym dla teatru, a wystawionym już nieraz w teatrze poznańskim, bajeczną wprawdzie, ale przepiękną opowieść o pierwszej koronie polskiej. Wedle tej opowieści jeden z trzech królów, których cudowna gwiazdka przywiodła do Betleem, a mianowicie król północnego ludu Scytów zawadził, wracając do domu, o Polskę. Panować w niej miał natenczas Lech, ów sławny Lech, co to, wedle podania, znalazł w pustkowiu leśnem gniazdo białych orłów i założył w tem miejscu sławne miasto Gniezno, pierwszą stolicę polską. Otóż znalazłszy się niespodzianie w nieznanym sobie kraju, ów król północy — jak pisze Słowacki — zaszedł w nasze żyta i:

Zabłądził w zbożu, jak w lesie, bo zboże
Rosło wysokie, jak las, w kraju Lecha;
Więc, zbłądziwszy, rzekł: — „Wyprowadź, Boże!“
Aż tu przed nim odkrywa się strzecha
Królewskiej chaty, bo Lech mieszkał w chacie.
Wszedł do niej Scyta i rzekł: „Królu! Bracie!
„Idę z Betleem, a gwiazda błękitna
„Twoich bławatków ciągle szła przedemną,
„Aż tu zawiodła.“ — Lech rzekł: „Zostań ze mną,
„Kraina moja szczęśliwa i bitna —
„Jeśli chcesz, to się tą ziemicą z tobą
„Dzielę na poły“. — Scyta rzekł: „Zostanę,
„Lecz kraju nie chcę, bo ziemie złamane
„Rozgraniczają się krwią i żałobą
„Dzieci i matek“. Więc razem zostali—
I jako dawniej czynili mocarze,
Z Lechem się mieniał Scyt na obrączki;
A pokochawszy mocniej sercem, w darze
Dał mu koronę — stąd nasza korona,
Zbawiciel niegdyś wyciągając rączki
Szedł do niej z matki zadumanej łona
I ku rubinom podawał się cały,
Jako różyczka, z liści wychylona,
I wołał: „Caca!“ i na brylant biały
Różanych ustek perełkami świecił.

Pięknie pisze Słowacki! A tę opowieść, chociaż z wyobraźni wysnutą, czytamy z żywem wzruszeniem, bo nam mówi o ziemi Lecha, ustrojonej w bujne żyta, w gwiazdy bławatków, wolnej, nie podzielonej, „szczęśliwej i bitnej“. Mówi też o koronie polskiej, która przez długie wieki jaśniała chwałą i której nie plamiły łzy ani krew podbitych narodów, jakgdyby na niej spoczywały, jakgdyby ją uświęcały oczy Zbawiciela, co poniósł śmierć męczeńską za wolność ludów.





Mościa panno, dłon liliową
W męskiej dłoni śmiało złóż,
Idź z wzniesioną dumnie głową
I rumieńcem z róż!
Tancerz puhar wznosi śmiało...
Uśmiechnij się, dziewczę doń,
W posuwisty rytm kapeli
I ty mu się wdzięcznie skłoń!



P. Reboux.

Między niebem a ziemią...

(Nowela z francuskiego).

Na progu „Imperial'u“ Marceli Nortier odetchnął pełną piersią, wciągając z rozkoszą w zmęczone płuca świeże powietrze nocne, i szybkim krokiem skierował się w stronę swego mieszkania. Przez cztery godziny w atmosferze przesyconej dymem, wyziewami potraw, zapachem perfum i potu, wypalił niezliczoną ilość papierosów, wychylając kieliszek za kieliszkiem lichego szampana, postawionego przez uprzejmego, lecz niezbyt wybrednego przyjaciela.

Przez cztery godziny, oparty o aksamitne poduszki kanapy, wśród nieopisanego ścisku i hałasu, ogłuszony muzyką cygańską, oślepiony potokami jaskrawego światła, odbijającego się w zwierciadłach, znajdował się w stanie błogiego odurzenia. Wyszedł stamtąd z szalonym bólem głowy i postanowił wrócić do domu pieszo, w nadziei, że ruch i chłód nocy podzia-

łają zbawiennie na jego rozstrojone nerwy.

Bez końca wydały mu się schody wiodące na piąte piętro; zamknąwszy drzwi za sobą i rozebrawszy się pośpiesznie, z uczuciem niewysłowionej rozkoszy wyciągnął się na miękkiej i świeżej pościeli.

Lecz i teraz jeszcze nie doznawał spodziewanej ulgi; głowa mu ciężyła, zaburzenia gastryczne nie pozwalały usnąć. Odrzucił kołdrę i poszedł do kredensu po butelkę wody mineralnej. Połknął pełną szklankę, krzywiąc się przytem niemiłosiernie. Pocieszała go tylko myśl, że coś tak wstrętnego musi mu niezawodnie pomódz, wrócił do łóżka i zgasił lampę.

Nie, stanowczo! jest mu bardzo źle! Na prawym boku, na lewym, w poprzek łóżka, na wznak, na brzuchu! Wciąż niedobrze, przeklęty szampan!...

Nareszcie usnął.

Po chwili zerwał się znowu, obiany zimnym potem. Było mu coraz gorzej, wstrząsały nim dreszcze, miał gorączkę...

— Kto wie! może na świeżem powietrzu zrobi mu się lepiej.

Wstał więc po raz drugi i na oścież otworzył drzwi do balkonu.

Głęboka cisza; na ulicy nie było nikogo. Słychać było tylko oddalający się turkot dorożki i zbliżający się zaledwie dosłyszalny świst lokomotywy. W pobliżu ktoś zatrzasnął bramę — i cisza znów zaległa ulicę. Wszak nikt go nie zobaczy; wyszedł więc na balkon, tak, jak stał, w koszuli i wychylił się przez balustradę.

Nagle uczuł jakby wstrząśnienie nerwowe; odwrócił głowę: na balkonie obok niego był jeszcze ktoś drugi. Wciśnięty w róg balkonu stał jakiś człowiek i patrzał na niego.

Marceli nadludzkim prawie wysiłkiem odzyskał spokój. Skąd się tutaj wziął ten człowiek i co on za jeden? Marynarka zniszczona, czapka z daszkiem. Z pewnością opryszek, a dostał się na balkon przez dach po rynnie deszczowej.

Żeby wyjrzeć na ulicę, musiał Marceli oddalić się o kilka kroków od drzwi; teraz chcąc wrócić do pokoju, zmuszony będzie przejść obok tego człowieka. A jeżeli tamten pomyśli, że on chce na niego napaść, co wtedy?

— Jeżeli piśniesz, zrzucę cię z balkonu — rzekł nieznajomy spokojnym głosem.

Głos to był ordynarny, ochrypły, z trudem wydobywający się z krtani. Na dźwięk głosu tego uczuł Marceli, że mu krew w żyłach zastyga.

— Co czynić? Jak postąpić? Wdać się z nim w układy? Byłoby to niedorzecznością! Walczyć?!... Przecież tamten wydawał się o wiele silniejszym od niego.

Nagle ogarnął Marcelego strach szalony. Za jakąbądź cenę musiał dostać się do swego pokoju i zatrzasnąć za sobą drzwi od balkonu.

Z nagłem postanowieniem rzucił się ku drzwiom, lecz w tej samej chwili nieznajomy postąpił krok naprzód i dwa silne ramiona ścisnęły Marcelego jak kleszcze.

Chciał krzyknąć; ciężka dłoń zamknęła mu usta. Oszalały z bólu i przerażenia próbował uwolnić się ze śmiertelnego uścisku, lecz trzymające go ramiona ścisnęły go jeszcze silniej, gniotąc mu pierś. Bez tchu, na pół już tylko przytomny, uczuł Marceli, że dłużej nie wytrzyma, że walka ta musi się w jakikolwiek sposób skończyć. Dobywszy resztek sił, usiłował powalić przeciwnika na poręcz balkonu i zrzucić go na ulicę.

— O, co to, to nie — mruknął nieznajomy, i uniósłszy Marcelego w górę, przechylił go przez poręcz. Widząc niechybną zgubę, Marceli rozpaczliwie uczepił się jednej z żelaznych ozdób balustrady.

Człowiek z głuchym okrzykiem wdrapał się po rynnie i znikł na dachu.

Marceli wyprężając gwałtownie ramiona, usiłował unieść się do góry, lecz mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Na mgnienie oka owładnęła nim rozpaczliwa pokusa przyspieszenia nieuniknionego końca, tem straszniejszego, im dłużej się odwlecze. Lecz instynkt samozachowawczy wziął górę.

Jakaż pozostała mu nadzieja? Że zobaczy go jaki przechodzień? lecz przecież na ulicy nie było nikogo. Że ktoś usłyszy krzyk jego? Cała ulica pogrążona była w śnie głębokim, wszystkie okna były pozamykane.

Ramiona zupełnie już mu zdrętwiały, w karku czuł kurcz bolesny. Żeby oszczędzić siły, próbował trzymać się na przemiany to jedną, to drugą ręką. Za każdem poruszeniem zsuwał się coraz niżej, był coraz bliżej strasznego końca; na jak długo jeszcze starczy mu sił?

Nie wiedział, co robić z głową. Jeżeli ją odchyli w tył, to ciężarem swoim pociągnie całe ciało; nachylając się naprzód, może dostać zawrotu, ulegdz sile przyciągającej próżni.

A może, jeżeli puści balustradę, to spadnie na równe nogi na balkon trzeciego piętra. Lecz nie, to rzecz więcej niż wątpliwa; spadnie na bruk z rozbitą czaszką, z połamanemi kośćmi. Na tę myśl włosy zjeżyły mu się na głowie.

A na ulicy nikogo! nikogo!

Ach jakże straszną jest ta męczarnia, ta powoli, lecz nieubłaganie zbliżająca się śmierć. — Już prawie nie czuje ramion. Ogarnęła go rozpacz szalona, zaczął płakać. Cały był oblany zimnym potem, ręce jego zwilgotniałe, ześlizgiwały się po balustradzie, ciało stawało się coraz cięższem. Nagle, jakby dla przepełnienia czary rozpaczy, uczuł straszliwe zimno i niepohamowaną chęć kichnięcia. Jeżeli kichnie, jest nieodwołanie zgubionym. Ten tak pospolity, nawet komiczny wypadek przypłaci życiem. — Wszak nawet wisząc nieruchomo, zaledwie może się utrzymać; jeżeli kichnie, spadnie napewno.

„Atczi!... Oszalały czepia się balustrady paznokciami. — Atczi!! już nie może, nie może! Atczi — um!!! Marceli puszcza balustradę, spada i...

Nagle rozbudzony, obraca się po raz dwudziesty na drugi bok i naciągając kołdrę na uszy, mruczy:

— Przeklęty szampan!





Pojrzeć, aż się oczy świecą,
Jak Mazury walą, lecą!
Czapką który muśnie czasem,
W takt hołubca tnie obcasem,
Przytupuje śmiało z góry,
Aż z podłogi lecą wióry...
Ujmie połę i mknie dalej...
Z drogi, kiedy Mazur wali!
Taki bo to tan!
Męski, butny a ognisty,
Zawadyacki, zamaszysty,
Wychował go łan polisty,
Mazowiecki łan!

Adam Asnyk.

Karmelkowy wiersz na karnawał.

Bywało, dawniej przed laty
Sypałem wiersze i kwiaty
Wszystkim dziewczątkom;
Bom myślał, o piękne panie,
Że kwiat lub słowo, zostanie
U was pamiątką.

Wierzyłem — zwyczajnie młody,
Że jeszcze nie wyszło z mody
Myśleć i czuć;
Że trochę serca, kobiecie
Świetnej karyery na świecie
Nie można psuć.

Aniołków brałem na seryo,
I z śmieszną Donkiszoteryą
Wielbiłem lalki,
I gotów byłem — o zgrozo!
Za Dulcyneą z Tobozo
Stanąć do walki.

Lecz dziś — komedyę salonu,
Jak człowiek dobrego tonu
Na wylot znam;
Z serca pożytek nie wielki...
Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam!



W karnawale rżną skrzypice,
Skoczę w taniec, dziewczę chwycę —
A po tańcu łyknę z dzbana
I zaśpiewam: „Dana, dana!“

Jak powstały miasta w Polsce.

Przed tysiącem lat Polska miała zupełnie inny wygląd niż dzisiaj. Ziemię całą pokrywały nieprzebyte bory, pełne dzikiego zwierza. Po drogach czaili się rozbójnicy. Gdzieniegdzie spotkać było można warowne zamczyste grody, z wysokiemi basztami, otoczone wałem, ostrokołem lub rowem głębokim. Do zamku prowadził most na łańcuchach „zwodzony“. Kiedy taki most był zdjęty, wcale tam nie można było się dostać. W grodach mieszkali rycerze, a naokoło były osady kmieci i niewolników.

Ludzie niemało musieli się napracować, bo choć nie wielkie mieli potrzeby, ale sami też sobie wszystko robili. Gospodarz siał zboże, wyrabiał sprzęty i naczynia, niewiasty przędły nici, tkały płótno i sporządzały odzież. Pieniędzy prawie nie używano. Handel był tylko zamienny — to znaczy wymieniano jedne produkty za drugie, towarem płacono za towar, np. zbożem lub miodem za bursztyn itd. Najczęściej zamiast pieniędzy używano płócienek—„płatków“, skąd pochodzi słowo „płacić“. Rycerzom wszystkie potrzebne rzeczy robili niewolnicy. Bogatsi tylko kupowali ozdobną broń, piękne naczynia i inne wyroby, które kupcy przywozili do Polski z Niemiec. Stan taki trwał do 14-go wieku.

Stopniowo jednak coraz więcej było ludzi, którym nie wystarczały proste wyroby, coraz więcej amatorów na piękne towary zagraniczne. Tymczasem sprowadzanie z zagranicy nie było wygodne. Trudno jeździć tak daleko końmi po złych drogach, a tu jeszcze często rozbójnicy napadali na kupców i towar im odbierali. Cóż, kiedy Polska w tym czasie była opustoszona i nie było ludzi, którzyby rzemiosłem i handlem zająć się mogli. Od 12-go wieku, kiedy to Bolesław Krzywousty podzielił Polskę na księstwa, książęta nieustannie wojowali między sobą, a wojen z sąsiadami nie prowadzili — nie przybywało więc jeńców. Ciągle powtarzały się napady litewskiego plemienia Prusaków, którzy mnóstwo ludzi porywali. W 13-tym wieku spadł na nas najazd Tatarów. Tatarzy doszczętnie Polskę spustoszyli. Wsie spalili, pola stratowali, pozabijali bydło, ludność uprowadzili do niewoli. Wielu chłopów kryło się po lasach w obawie przed nowym napadem, bojąc się wrócić do dawnych mieszkań. Zniszczenie Polski przez Tatarów wyraziło się w przysłowiach. Ludzie wystraszeni powtarzali sobie: „gdzie Tatar przejdzie, tam trawa nie porośnie.“ Dziś jeszcze, jeżeli gdzie jest wielki nieład, mówimy: „wygląda jak po napadzie Tatarów.“

Kto w takich czasach mógł się zająć rzemiosłami albo handlem? Myśleli długo książęta, coby tu zrobić, aż w końcu wymyślili, żeby sobie ludzi od sąsiadów sprowadzić.

Właśnie w tym czasie w Niemczech źle się działo. Było bezkrólewie, rządził ten, kto silniejszy; ludność uciskana i grabiona przez rycerzy-rabusiów, nigdzie sprawiedliwości znaleść nie mogła. Do Niemców więc książęta posyłali mądrych ludzi bywalców, którzy ich namawiali, żeby z ojcowizny swej do Polski się przenosili, obiecując, że im się tu dobrze dziać będzie. Niemcy gromadami całemi do Polski ciągnęli. Ci niemieccy koloniści zakładali koło dawnych grodów miasta.

Za przykładem książąt, sprowadzali kolonistów biskupi i możni panowie. Koloniści zawierali z księciem umowę, spisywali układ t. zw. „przywilej lokacyjny.“ Zapewniano w nim

mieszczanom, że będą się rządzili według tych samych praw, co w swojej ojczyźnie. Ten, kto sprowadził kolonistów i umawiał się z księciem, zostawał wójtem i razem z ławnikami sprawował sądy. Zarząd miasta należał do burmistrza i rajców, którzy razem stanowili radę miejską. Mieszczanie przez pewien czas byli wolni od podatków, dopiero po upływie tego czasu, tak zw. „woli," płacili podatek pieniędzmi — czynsz.

Na otrzymanym obszarze koloniści oznaczali czworokątny plac — rynek. Budowano tu ratusz — dom radny. Na wszystkie strony rozchodziły się ulice. Ponieważ były to czasy, kiedy lada dzień mogli wpaść Tatarzy, albo inni wrogowie, trzeba więc było budować miasta jak fortece, a domy tak, żeby się w nich bronić było można.

To też ulice były wąskie i kręte, domy miały mury grube, okna małe z żelaznemi okiennicami, drzwi ciężkie żelazne, podwórka małe jak studnie. Miasto otaczano wałem albo murem, po którym chodziła straż i w dal spoglądała, czy nieprzyjaciela gdzie nie widać.

Dawna stolica Polski — Kraków, do dziś dnia ma taki wygląd. Od Wawelu, zamku dawnych królów polskich, kołem opasywały miasto mury, z których jeszcze resztki pozostały. Dziś zamiast muru w miejscu tem są wspaniałe aleje, tak zw. planty.

Przy wjeździe do śródmieścia widać starożytną bramę Floryańską z basztami.

Przez wązką ulicę dochodzi się do rynku. Na środku stoi ratusz. Opodal widać Sukiennice, wspaniały gmach, zbudowany przez Kazimierza Wielkiego w 14-tym wieku. Naprzeciwko wznosi się prześliczny kościół Panny Maryi z ołtarzem rzeźbionym przez znakomitego rzeźbiarza Wita Stwosza.

Naokoło domy z porysowanemi od starości murami, które już dużo wieków pamiętają. Kto się znajdzie na rynku w Krakowie, może sobie łatwo wyobrazić, jak wyglądały dawne miasta. **A. C.**

Niedola dzielnych mistrzynią!
Zważcie nieszczęśni:
Kto nie ma sił odpornych w mięśni,
Niech wytęży siły ducha!
Włodzimierz Wysocki.

* * *

Lepiej być miastem bez murów, niżli bez praw; bo obronić się jakiem wojskiem może, a bez praw stać i trwać żadne nie może.

Piotr Skarga.



Włodzimierz Zagórski.

Hej-hej! skrzypią tam skrzypice...

Na ludową nutę.

Hej—hej! skrzypią tam skrzypice,
Że masz oczy „kiej dwie świece";
Zaś basetla „ciągiem kleci",
Że w twych oczach djabeł świeci.

Hej „rzną-m" skrzypki, „tną-m" od ucha
Żeś ty, Maryś, cud dziewucha; —
Zaś basetla huczy głucho,
Żeś ty „okpisz" jest psia—jucho!

Hej „rzną-m" skrzypki :Oj da da da!
Żeś mi „szczyrym" sercem rada;
Zaś z basetli „cosik" woła,
Żeby ci nie wierzyć zgoła!

„Łgają-m" skrzypki, jako żywo,
A ja płacę skrzypkom piwo,
„Bez to, co mi smyk przygrywa",
To, co w sercu u mnie „śpiwa."

„Rżną-m ci basy prawdę srogą-m",
A ja basy kopię „nogą-m";
Niechaj w basy nawet trzaśnie; —
Ja cię, Maryś, kocham „straśnie!"...

Ogrodnictwo.

Historya ozdobnego ogrodnictwa.

Pierwsze wzmianki o sztucznych ogrodach znajdujemy na 1000 lat przed Chrystusem, choć podania mówią, że wcześniej jeszcze mieli je zakładać Chińczycy. W Mezapotamii znane były ogrody Semiramidy na groblach i terasach. Na jakiej wysokości wiedza ogrodnicza była u Greków, niewiadomo. Rzymskie ogrody przy wilach są opisane dokładnie w notatkach Pliniusza. Arabowie i Maurowie podnieśli sztukę ogroniczą do wysokiego stopnia, naśladując rzymskie wzory. Kiedy Rzymianie zapanowali nad Germanią, rozpowszechnili między ludami germańskiemi sztukę ogrodniczą. Za Karola Wielkiego znane były podziały ogrodów na kwiatowe, warzywne, owocowe i winnice. Wielką zasługę w rozwoju ogrodnictwa mają mnisi, którzy zakładali ogrody przy klasztorach. W XV.—XVI. stuleciu zakładano ogrody w stylu odrodzenia, którego kolebką jest Florencya. Główną cechą tego stylu jest harmonia kształtu budynków i ogrodów. Przed pałacem główną ozdobą były kwiaty. Taki ogród założył w r. 1389 Cosini Medici, który wprowadził styl rzymski; założył także dwa botaniczne ogrody: w Bolonii i Pizie. Od tego czasu zakładano wille z ogródkami, gdzie oprócz kwiatów, posągi i wazy służyły za ozdobę. W r. 1650 znakomity architekt-ogrodnik, Pierro Zigolio, zbudował wilę d'Este w Tivoli, gdzie na wielkich terasach były baseny i fontanny z kaskadami i schodami ozdobnemi, a ogród łączył się z lasem. W latach 1600 do 1650 za panowania Ludwika XIII. powstał w Francyi styl barokowy. Główną cechą tego stylu są place, przeznaczone do różnych zabaw, a nadto do ustawienia posągów w korytarzach i gankach z drzew i krzewów. Holenderskie ogrody wyróżniały się większą ilością grot, miały klomby w kształcie trójkątów obsadzone kwiatami. W roku 1700 powstał z połączenia stylu barokowego z stylem odrodzenia, styl nowy, francuski zwany. Twórcą tego stylu był Le Notre, który założył, na życzenie króla Ludwika XIV. ogrody w Wersalu. Główną cechą stylu francuskiego jest symetrya w wszystkiem i utrzymanie całokształtu w prostych liniach: terasy, wodotryski, wielki parter przed zamkiem, gdzie za ozdobę służyć mogą drzewka w wazonach drewnianych, w różne kształty strzyżone, oraz ozdoby porcelanowe. Za czasów króla Sobieskiego Lenotre założył kilka ogrodów w Polsce, jak w Warszawie, Wilanowie, Arkadyą, Puławy, w Księstwie Posadowo. — Ogród w Schoenbrunn pod Wiedniem założył za panowania Józefa II. le Blonde, uczeń Lenotra, taki sam ogród założono także w Peterhofie pod Petersburgiem. Później, kiedy ogrodnicy francuscy przekonali się, że ich styl jest doskonały, niespodzianie w Anglii zwrócono się do natury i stworzenia stylu naturalnego angielskiego. Twórcą tego stylu był malarz William Kent. Główną cechą tego stylu: brak sympatyi, przestrzeń podzielona na różnego kształtu i wielkości trawniki, drogi z łagodnemi krzywiznami, grupy z drzew i krzewów liściastych i iglastych. Okazalsze egzemplarze, wyróżniające się liściem, kwiatami, barwą, kształtem rozsadza się oddzielnie na trawnikach jako solitery. Głównie zależy tu na przedstawieniu jak najwięcej różnych obrazów w perspektywie. Stawy, potoki, mosty powinny być odpowiednio zużytkowane, miejsca spoczynku i dla różnych zabaw winny być urządzone w miejscach cienistych a całość ogrodzona żywym płotem. Później William Chimbre, który studyował chińskie



Scena karnawałowa.

Człowiek, przebrany za arlekina (błazna), pędzi ulicami miasta ku uciesze gawiedzi ulicznej; nawet pies, szczekając, podziwia tę niezwykłą postać ludzką, bawiącą przechodniów śmiechem, żartami i dowcipkowaniem.

ogrodnictwo, chciał w miniaturze naśladować całą przyrodę, i w tym celu używał żywych i sztucznych zwierząt i ptaków, jak: jeleni, zajęcy, antylop, bażantów itp. i mnóstwo kolorowych kwiatów — słowem kontrast grał główną rolę. Styl ten zwał się chińsko-angielskim. W celach ozdoby ogrodów, stawiano też chińskie, arabskie i greckie mauzolea oraz egipskie piramidy. Po tym stylu powracano do dawnego naturalizmu. Czem Repton był dla Anglii tem Schell był dla Niemiec. Pracował on w latach 1783—1823 w Francyi, Anglii, Niemczech i Czechach, przerobił ogrody w Monachium i założył w Saksenburgu pod Wiedniem. Anglia udoskonaliła swój styl naturalny. Ze wszystkich teoretyków najwięcej odznaczył się wykształceniem i gustem Püchler v. Mu̇scau, który pisał wiele o ozdobnem ogrodnictwie. W wieku 19-ym ogrodnictwo ozdobne było już w rozkwicie.

Wynalezienie i budowanie szklarni, jeźli można tu powiedzieć, jest ostatnią rafineryą sztuki ogrodów, bez pomocy których możnaby tylko hodować w każdym kraju rośliny właściwe swemu klimatowi albo bardzo mało różniącemu się. Śliczne rośliny strefy gorącej i podzwrotnikowej znanoby w Europie tylko z opisu, obrazków, albo w stanie zasuszonym i rozdrobnionym zdobiłyby „hortos siccos“, „suche ogrody“ (herbarium) botaników. Bogaci obywatele Rzymu w ostatnich czasach republiki i za Cezarów mieli ogródki zamykane cienkiemi płytami przezroczystego kamienia, w których chronili podczas chłodnych nocy delikatne rośliny z Azyi i Egiptu, hodowane w wazonach, lecz były to mniej więcej nasze ziemne inspekta. Dopiero z wynalezieniem szkła odpowiedniego, historya wspomina o oranżeryach budowanych w wieku XV.—XVI. To były oranżerye chłodne, w których hodowano: pomarańcze, cytryny, laurusy, myrty i granaty. Odkrycia Portugalczyków, Hiszpanów, Holendrów dały poznać Europie cudowną wegetacyę krajów odkrytych. Ogrodnicy-botanicy budowali dla roślin sprowadzonych schroniska, starając się utrzymać takowe w kondycyi stosownej do ich klimatu. Jednakże hodowla w szklarniach postępowała bardzo wolno. We Francyi za Ludwika XIV. w roku 1713 wybudował pierwsze dwie szklarnie Sebastyan Vaillant. W jednej posadzono mały krzaczek kawowy, przywieziony przez jenerała artyleryi Ressona, który zmarniał dla braku doświadczenia hodowli roślin egzotycznych. Drugi dopiero krzaczek podarowany Ludwikowi XIV. przez burmistrza Amsterdamu rósł i rozmnożono go.

W drugiej szklarni posadzono kaktus „Cereus peruriamus“, podarowany w r. 1700 Fagon'owi, intendentowi ogrodu przez profesora Houlton'a z Leyde (Holandya). Na początku 1800 r. szklarnie budowano wszędzie, zwłaszcza w krajach zimnych, jak Anglia, Niemcy, Polska, Rosya; w miastach nawet z wielkim przepychem, zwłaszcza te, które budowano przy pałacach. Postęp, doświadczenie w budowie teraźniejszych używanych do różnych hodowli roślin zdumiewać może niejednego. I widzieć w nich może różne piękne rośliny, które chociaż są piękne i z wielką troskliwością hodowane, są tylko bladą reprodukcyą wegetacyi egzotycznej. Roślinom tak samo jak zwierzętom i ludziom nie można bezkarnie zabierać: ojczyzny, wolności.

Jan Wachowski,
ogrodnik z Niechanowa.

Wiadomości.

* **Odezwa Tow. Czyt. Lud. w Poznaniu!** Przedwczesny zgon nieodżałowanej pamięci księcia Zdzisława Czartoryskiego wywołał w szerokich kołach społeczeństwa nietylko żal i smutek głęboki, ale przypomniał zarazem o gorącem i ofiarnem jego sercu dla dobra kraju.

Instytucyą, którą zmarły ś. p. książę najwięcej może ukochał, którą uczynił jednem z najpopularniejszych ognisk zbiorowej pracy naszej dzielnicy, a której przez lat 18, nie szczędząc osobistych trudów i zachodów, ze znaną ogółowi gorliwością przewodniczył, było Towarzystwo Czytelni Ludowych.

To też Zarząd Główny tegoż Towarzystwa postanowił w uznaniu zasług i ku uczczeniu pamięci byłego długoletniego prezesa utworzyć fundusz wieczysty imienia księcia Zdzisława Czartoryskiego i wzywa ludzi, którzy w świecie szerokich warstw narodu pierwszy widzą warunek naszego bytu, do składek na ten cel szlachetny.

Do przyjmowania składek upoważniony jest skarbnik Towarzystwa, dr. Kapuściński, Poznań, Podgórna 10 a.

Zarząd Główny Tow. Czyt. Ludowych: Karól Sczaniecki, prezes. *Ks. Rochalski,* wiceprezes. *Dr. Kapuściński,* skarbnik. *Dr. Celichowski,* sekretarz. *Dr. Michalski,* główny bibliotekarz. *Stefan Chociszewski. Poseł Chrzanowski. Dr. Dembiński. Ks. Kościelski. Ks. Lisiecki. Dr. Meissner. Stanisław Niegolewski.*

Na cel powyższy złożył marszałek p. Stanisław Kurnatowski z Pożarowa 250 mrk.

***Z miasta.** Dnia 23-go stycznia r. b. odbyła się zabawa zimowa Tow. ogrodników. W pięknie udekorowanej salce Domu Katolickiego i przybocznych pobocznych pokojach zebrała się taka ilość gości, że i pomieszczenia

prawie nie było. Choć rok rocznie zabawa nasza udawała się, to tego roku cieszyła się nadzwyczajnem życiem i werwą. Poloneza wyprowadził prezes, pan Marciniec, za którym przeszło 100 par postępowało. Panie odebrały bukieciki. Podług programu w zabawie nastąpiła mała przerwa celem rozdzielenia fantów. Panowie koledzy nie szczędzili zabiegów, tak, że do wylosowania prezentowała się ilość 300 darów, przeważnie zastępujących sztukę ogrodniczą. Muzyka p. Czechowskiego była piękną i nader pilną, więc nie mogę pominąć wyrazu głębokiego uznania. Także panu G. za bezinteresowne urządzenie przedstawienia, jako też dzieciom i paniom za pięknie odśpiewane duety, deklamacye i t. d. również głębokie uznanie. Z uznaniem trzeba też podnieść, że duch jedności i łączności koleżeńskiej — właśnie w ostatnich czasach znacznie się spotęgował i mam to mocne przekonanie, że stanie się ono pobudką, aby kolegów stroniących od Towarzystwa złączyć w jednego ducha i w jedno ogniwo.

St. Majewicz, w zastęp. sekr.

* **Września.** W tych dniach wybuchł rano ogień w biurze pana adwokata Peysera, który powstał przez wypadnięcie węgli zarzących z pieca; pomimo spiesznego ratunku, ogień wyrządził szkody za 75 marek. Ponieważ z powodu wyżej wzmiankowanego ognie często się zdarzają, donoszę, iż pan Urbanowicz we Wrześni ma swój własny wynalazek patentowany, chroniący od podobnych wypadków. Przyrząd ów, którego opis i rycinę „Praca“ zamieściła w maju r. z., kosztuje tylko 80 fenygów.

* **Jutrosin.** W święto M. B. Gromnicznej zostało w mieście naszem założone Koło śpiewackie kościelne i świeckie za staraniem ks. prob. Dratwy i organisty p. Frąckowiaka. Do Towarzystwa przystąpiło zaraz 60 członków, tak pań jak panów. Członkowie dzielą się na czynnych, nieczynnych i honorowych. W skład zarządu wchodzą następujący członkowie: p. Siniecki, prezes, p. Szulc, zastępca, p. Frąckowiak, dyrygent, p. Monka, sekretarz, zastępca tegoż p. Kycler, p. Grześkowiak, skarbnik, p. Staniszewski, bibliotekarz, oraz pp. Nowakowski i Biederman, ławnicy.

Nadmienić także wypada, iż na członków honorowych zapisało się kilku obywateli Jutrosina, za co należy im się ogólne podziękowanie. Lekcye śpiewu odbywać się będą regularnie dwa razy w tygodniu, zebrania zaś raz w miesiącu na sali p. Durskiego.

Gorącem życzeniem naszem jest, aby Koło śpiewackie jak najwięcej popierali obywatele jutrosińscy.

Śpiewak.

* **Małe Gole.** W środę, dnia 3-go b. m. pobłogosławiony został w tutejszym kościele parafialnym związek małżeński pomiędzy p. Stanisławem Jessem, gospodarzem ze Springberga (?!), a panną Antoniną Skoczyńska, córką dzielnego obywatela ziemskiego, p. Walentego Skoczyńskiego z Popowa kościelnego. Goście weselnych podejmowali rodzice panny młodej z prawdziwie polską gościnnością. Telegramów nadeszło kilkadziesiąt; pomiędzy niemi także Kościuszkowskich.

Pamiętano na weselu również o składkach na cele oświatowe i zebrano na rzecz „Czytelni Ludowych“ 17,20 mrk. przez bibliotekarza z Małych Gól.

Oby ten szlachetny postępek służył innym za wzór do naśladowania. Młodej Parze:: „Szczęść Boże!“

Jeden z gości.

* **Z prowincyi** zapytuje się rodak stolarz na tej drodze Szan. czytelników gdzieby można założyć i liczyć na powodzenie pracownią, oraz skład mebli. Informacye przyjmuje Redakcya „Pracy.“

* **Dziembowo,** powiat chodzieski. Głowacze tutejsi polscy w dniu 27-go z. m. pokazali w szkole, że umieją nie gorzej od ich dzieci „Fest-Lobungssprachy“ prawić — a na wieczór w knajpie zakropieniem licznych kufli piwa jeszcze bardziej pokazali swój lojalizm — i swój „jubel,“ a gdy pozapalali świeczki to wtedy już doszli szczytu „jublu.“ Oj, kochają się niejedni Polacy w łasce i w mamonie naszych „najserdeczniejszych“ — a drudzy kochają się w swej pustej głowie.

Czytelnik „Pracy.“

* **W Brodnicy** w Prusach Zachodnich na niedzielnym wiecu „Straży“ za staraniem starosty p. Bardzkiego zostało zawiązane miejscowe Towarzystwo „Straży.“ Do zarządu należą: jako prezes p. Maryan Lipiński, zastępca p. Wł. Ciemiński, sekretarz p. Jan Sukowski, skarbnik p. Wł. Stawiński.

Na razie zapisało się na członków 21 niewiast i 40 mężczyzn.

Przyszłe lokalne zebranie odbędzie się dnia 4-go kwietnia b. r., dalszy zapis członków i składki przyjmuje p. Wł. Stawiński (skład cygar) w Brodnicy.

* **Brodnica (Pr. Zach.) Odezwa.** Stosunki, jakie się wytworzyły wskutek nieszczęsnych praw wyjątkowych, nasunęły nam myśl założenia domu katolickiego dla miasta naszego i okolicy. Korzystając z sposobności, nabyliśmy drogą kupna posiadłość w mieście składającą się z pięknego ogrodu, dwóch kamienic i kawału ziemi dotąd niezabudowanego. Niestety dla braku funduszów potrzeba było zaciągnąć znaczną pożyczkę.

Ufni wszelako w pomoc Bożą i przekonani o tem, że społeczeństwo zrozumie cel szczytny przedsiębiorstwa naszego, udajemy się do serc szlachetnych z prośbą o łaskawe wsparcie choćby najmniejszym datkiem.

Brodnica Pr. Zach., w lutym 1909 r.
Bardzki. X. prob. Doering. Kaczorowski. Koczwara. Lipiński. Stawiński.

P. S. Składki prosimy przesłać pod adr. Maryan Lipiński, Brodnica (Strasburg Wpr.).

Od Redakcyi: Zachęcamy Szan. Czytelników, mianowicie z Prus Zachodnich, ażeby przesyłali jak najliczniejsze składki pod powyżej wskazanym adresem na cel tak szlachetny.



Nekrologia.

† **Ś. p. Bolesław Gliński,** dnia 31-go z. m. w Grodzisku. — **Ś. p. Kazimierz Powidzki,** dnia 30-go z. m. Pogrzeb odbył się w Śremie, dnia 2-go b. m. — **Ś. p. Petronela z Kliszewskich Karpińska,** dnia 1-go b. m. w Gnieźnie, w 83-cim roku życia. — **Ś. p. Otylia Paczkowska,** dnia 2-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Józef Prądzyński,** dnia 3-go b. m. w Skarpach, w powiecie złotowskim w Prusach Zachodnich, w 59-tym roku życia. Pogrzeb odbył się w Wałdowie, dnia 8-go b. m. — **Ś. p. Wawrzyniec Kempiński,** dnia 4-go b. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 84. — **Ś. p. Marcin Portaszewicz,** dnia 5-go b. m. w Pobiedziskach. — **Ś. p. Wiktorya Luer** z domu Knoll, córka restauratora p. Bolesława Knolla, dnia 5-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy 37 lat. — **Ś. p. Kazimiera z Chełmikowskich Urbanowiczowa,** dnia 5-go b. m. w Poznaniu. Pogrzeb odbył się we Wrześni dnia 8-go b. m. — **Ś. p. Jarosław Bobowski,** dnia 9-go b. m. w Poznaniu. Zmarły pracował przez kilka lat jako zecer w drukarni „Pracy.“ — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Studentowi św. teologii J. W. w L.** — Teologiczne pisma niemieckie może każdy Polak abonować prócz polskich tak samo jak francuskie i t. d. W Poznaniu wychodzi pismo teologiczne w języku polskim p. t. „Unitas.“ Bliższej informacyi co do tego pisma oraz co do „Ateneum“ zasięgnąć można w księgarni I. Leitgebra w Poznaniu.

— **Panu St. M. w Poznaniu.** — Z powodu nawału materyału i braku miejsca niektóre artykuły n. p. traktujące o ogrodnictwie spoczywają już od pół roku w tece redakcyjnej.

— **Panu J. S. VII.** — Dziękujemy za łaskawą pamięć, którą prosimy i nadal dla nas zachować. Zasyłamy serdeczne pozdrowienie Szan. Panu i wszystkim czytelnikom „Pracy“ w B.

— **Panu Walentemu Gl. w Kirchlinde.** — Brawo! Wiersz nadaje się zupełnie do wygłoszenia na zebraniu celem zachęty do zapisywania się na członków Koła śpiewu.

— **Panu Stanisławowi W. w P.** — Nad Pańskim utworem wierszowanym p. t. „Więzień“ rozczarowaliśmy się nie mało, a gdy stary nasz redaktor przeczytał ostatnie wiersze:

„Dłonie zacisnął,
„Nad ziemią zawisnął“

rzeczywiście pięście zacisnął i rzucił wiersz do kosza.

— **999 w Bernburgu.** — Adres jest taki: „Zjednoczenie zawodowe polskie w Bochum,“ ulica Klasztorna (Klosterstrasse) nr. 10.

— **Panu A. M. w D.** — Wielu z naszych poetów napisało wzniosłe zdania o oświacie, a na razie nie możemy stwierdzić dokładnie kto jest autorem wiadomego Szan. Panu wiersza.

— **Centralnemu Zarządowi Zjednoczenia Zawod. Polskiego w Bochum.** — „Oświadczenie“ doszło nas za późno już po wydrukowaniu numeru „Pra-

cy“ na dzień 31-go stycznia, a ponieważ ogłosiły je już wszystkie codzienne pisma poznańskie i prowincyonalne, więc nie zamieszczamy go w niniejszym numerze, jako „notatki“ już zbyt opóźnionej, tym więcej, że w tej sprawie wcale nie zabieraliśmy głosu.

— Panu Dyonizemu Ż. w Chełmnie. — Zarzut Szan. Pana jest niesłuszny, gdyż notatkę zamieściliśmy w numerze zeszłym, 6-tym, na stronie 176-tej. Tyle w odpowiedzi na pocztówkę Szan. Pana, w której Szan. Pan „pozwala sobie zapytać“ (a nie „pozwala się zapitać,“), jak Szan. Pan pisze zupełnie błędnie, dlaczego korespondencya Jego o zabawie Towarzystwa kupieckiego nie jest zamieszczona?

Kalendarzyk historyczny

Dnia 14-go lutego 1386 chrzest Jagiełły i zaślubienie Jadwigi. — 1422 małżeństwo Władysława Jagiełły z Zofią. — 1792 zaprzysiężenie na sejmikach konstytucyi 3-go maja. — 1831 zniesienie Moskwy pod Stoczkiem.

Dnia 15-go lutego 1383 wszczęta wojna domowa o wybór króla. — 1563 posłowie pruscy na sejmie piotrkowskim. — 1656 przez manifest w Zembowie Karól IX. ogłoszony najezdzcą Polski.

Dnia 16-go lutego 1241 Tatarzy pogrążeni pod Turskiem. — 1704 otwarcie sejmu w Warszawie na żądanie Karola XII.

Dnia 17-go lutego 1386 koronacya Władysława Jagiełły. — 1387 Władysław Jagiełło przywilejami obdarza Litwę. — 1574 wjazd do Krakowa Henryka Walezyusza.

Dnia 18-go lutego 1454 Prusacy składają przysięgę wierności w Krakowie. — 1577 sejm ustanawia stałe podatki. — 1634 poddanie się Moskali pod Smoleńskiem. — 1726 śmierć hetmana Adama Sieniawskiego. — 1831 rozprawa z Moskwą pod Okuniewem. — 1846 rozpoczęcie rzezi galicyjskiej.

Dnia 19-go lutego 1473 urodzenie Mikołaja Kopernika. — 1578 Stefan Batory ustanawia trybunały w Piotrkowie i Lublinie. — 1594 koronacya w Upsali Zygmunta III. na króla szwedzkiego. — 1629 bitwa ze Szwedami pod Górznem. — 1613 sejm nadzwyczajny z okoliczności konfederacyi wojska. — 1831 bitwy z Moskwą pod Wawrem i Ryczywołem. — 1831 zawiązanie Towarzystwa patryotycznego podolskiego.

Dnia 20-go lutego 1387 porównanie w przywilejach szlachty litewskiej z koronną. — 1494 księstwa oświecimskie i zatorskie do korony wcielone. — 1662 protestacya przeciw obieraniu następcy tronu. — 1831 początek Grochowskiej potrzeby.

Humor i satyra.

Na balu.

Panna Zosia w hołubcu
Tak tupnęła swą nóżką,
Że czy wierzyć zechcecie?!
Aż zgubiła serduszko!

Że szukano... z natury
Samej rzeczy wynika...
No i wreszcie pan Alfred
Znalazł korek z bucika.

* * *

W tem sęk.

Pan Lolo — chłopiec okazały
Postawa śliczna, wzrost, figura,
Twarz miła — krótko mówiąc: hojnie
Wyposażyła go natura.

Miał jeno wadę, że zbyt ciężko
Skakiwał w polce lub w mazurze,
Nad czem on sam płakiwał gorzko
A i wymyślał też naturze.

Usłyszał bowiem raz, jak panna
Orzekła: Chłoptaś nieuroku —
Kawaler gładki, owszem, owszem —
Lecz... gdybyż był sprężystszym w skoku!...

* * *

Definicya walczyka...

— „Kto definicyę mi powie:
Czem walczyk jest piękne panie?...
Czy fala, którą porywa
I niesie w wirów otchłanie?“...
— „Jest falą, która o skałę
Korabie ludzkich serc miota,
Jest falą, przez którą giną:
Stałość i wierność i cnota.

* * *

A to wdepnął!

Danser. Chciałem prosić pana dobrodzieja na słówko.

Ojciec (kilku cór na wydaniu.) Najchętniej, służę panu.

Danser. Uważałem, że pan dobrodziej jest mi życzliwy.

Ojciec. Już pana kocham, jak syna.

Danser. I nie odmówi pan mej prośbie?

Ojciec. Masz moje słowo i rękę.

Danser. Bo mnie doprawdy okropnie potrzeba...

Ojciec. Rozumiem — żony, żony.

Danser. Nie — żyranta na wekslu.

* * *

Po balu.

Młodzieniec, po balu, nad ranem, odprowadza damę swoich myśli.

Dama: Oto ulica Kopernika... już jestem przed moim domem, dziękuję panu.

Młodzieniec: (z westchnieniem): O czemu nie mieszkasz pani w . . . . San Francisko!

Kiedy kobieta staje się poważną?

Najlekkomyślniejsza nawet kobieta staje się poważną wobec kwestyi: „Jak się ubrać na bal?“

* * *

Z raju małżeńskiego.

Mąż (przegląda ranną pocztę; nagle rzuca ze złością papier dopiero co z koperty wyjęty) A! już mam tego nadto, moja żono! Znowu świeży rachunek od krawcowej!

Żona (naiwnie przestraszona). Jakto — znowu? A czyż dzisiaj był już jeden przed tym?

* * *

Filozof.

— I pan nic na to, że nadleśny zwymyślał pana od osłów i bałwanów?!

— Eh, proszę pana, co to szkodzi!... Wszak wszyscy wiedzą, że on wiecznie kłamie...

* * *

Tkliwy mąż.

— Panie doktorze, czy moja stara przetrzyma?

— Zdaje mi się, że się wszystko ułoży jak najlepiej.

—Więc klapnie?

* * *

Dosłownie.

— Czy uwierzysz, że mam u kobiet szczęście bajeczne?

— Naturalnie, mam to za bajkę.

* *

Praktyczna niańka.

Matka. — Moja Józefko, zawsze zanurzaj w wodę termometr, zanim dziecko wsadzisz w wannę.

Niania. — A to na co?

Matka. — Wszak już cię uczyłam jak poznać na termometrze, czy woda za gorąca, czy za zimna.

Niania. — Et ceregiele! ja i bez tego wiem, kiedy dziecko zczerwienieje jak burak — to woda za gorąca, a kiedy zsinieje — to za zimna.

* *

Powód.

— Zaledwie mnie pan poznał i już chcesz naciągać?

— Szanowny pan tak bardzo podobny do mego poczciwego wuja.

* * *

Publiczność do rzeźników.

Walne bili dotąd woły,
Ostro kłuli także świnie —
Fleiszbarony różnych herbów,
O królewskiej prawie minie,
Kłując oni w prawo, w lewo,
Nie zważali na kłuć efekt,
Mianowicie ten, że naród
Zaczął czuć w kieszeniach defekt.
Powstał przeto lud i rzecze:
„Nie jest jam ci wół, ni świnia,

Że mi rzeźnik takie rznięcia
Po kieszeniach wciąż wyczynia.“
Tandem tedy, bydłobójcy,
Pohamujcie się w rozpędzie
Podwyższania wciąż cen mięsa,
Bo wnet z wami koniec będzie.
I my (to jest bydłożercy),
Gdy zrobimy strejk od mięsa,
To wam wasze baronostwo
Wnet się całkiem powytrzęsa.

* * *

Skutki ślizgawki.

On ją poznał na lodzie.
To przyjemna zabawka,
Bardzo dzisiaj jest w modzie.
Zbliża ludzi ślizgawka.

W prawo, w lewo, dłoń w dłoni,
To kółeczka, to esy,
Ona pląsa, on goni:
Śmieszki, minki, karesy...

Widywali się co dnia
Na zamarzłej wód fali;
Jakaż proszę w tem zbrodnia,
Że się razem ślizgali?

Miłe złego początki,
Ale koniec żałośny...
Ciche czasem są wątki,
Za to finał dość głośny!

Raz upadła nieboga,
Lecz wprost w jego objęcia:
Niebezpieczna to droga
Dla pięknego dziewczęcia...

Dziś już o tem wydzwania
Fama plotek złych roje...
Oto skutki ślizgania
Niewinnego we dwoje.

Smutne z tego wyniki:
Pan Hipolit miał w zysku...
Od swej żonki Ludwiki
Dostał w domu po . . . . .

W tak tragicznym finale
Jest nauka dla człeka:
Hipcio ślizga się, ale
Już od niewiast — z daleka...

* * *

Co pan myśli.

— Słyszałem, że pani wychodzi za mąż... Czy z miłości?

— Za kogo mnie pan ma? czy to ja jestem jaka biedna szwaczka, żeby się ktoś ze mną musiał żenić z miłości?

* * *

Ostrożny!

— A to dokąd tak spieszno?

— Zapomniałem zamknąć żelazną szafę, a tam właśnie jest mój przyszły zięć u mnie...

— To myślisz pan, że on mógłby, coś niby... tego...

— To nie, ale jeśli zajrzy do kasy, to mógłby odwołać oświadczyny.

* * *

Z padołu płaczu.

Panna Madzia prócz uroczych
Lic,
Nad urodę już nie miała
Nic.
Panna Madzia czarowała
Młódź,
Chcąc małżeńskim się łańcuchem
Skuć.
Panna Ruchla grosze miała
Zaś,
Więc się hrabia w niej rozkochał
Staś.
I choć brzydka jak sto djabłów
Cóż?
Kiedy poszła za hrabiego
Już.
Panna Madzia wzdłuż wciąż szuka,
Wszerz
I jest jeszcze starą panną
Też!...

* * *

Co kwadrans.

— Lekarstwo to zażywać pan będziesz co kwadrans — mówi lekarz.

— A piwo pić mogę? — zapytuje chory.

— Najwięcej szklaneczkę — odpowiada lekarz.

— Czy także co kwadrans?

Walka o wolność, szczęśliwa czy nieszczęśliwa, jest zawsze jednym z największych czynów, na jakie zdobywają się narody, a zdobywają się nie wszystkie, — to znaczy, że nie wszystkie są zdolne, dojrzałe i dość potężne, ażeby mimo skrępowania, na taki wysiłek zdobyć się:

Fr. Rawita-Gawroński.

* * *

Wymówi się słóweczko, które, by jako porwać nazad, dałby człowiek za to niewiem co? jako ptaka, który się z ręku wydrze, zatrzymać, porwać nazad trudno; jako okrętu, który uciekł pełnymi żaglami z portu, nie możesz zawściągnąć, tak i słowo raz wypuszczone leci niepohamowane; słowo odleci— ale żelazo w sercu zostawi, trwa ból zadany; gwałtownie umysł robi na gniewy i warzy w sobie nie piwo, ale pomstę wielką.

Fabian Birkowski.

Zadanie konikowe.

Ułożyła czytelniczka „Pracy“, Marya Świtkowska, oficyantka pocztowa z Krakowa.

Z następujących głosek ułożyć piękny czterowiersz, napisany przez jednego z naszych poetów.

w	dzim	dniej	na
tru	niż	tę	wi
w	sło	pi	dzień
żyć	gę	ko	po
wach	dzia	do	sać
gę	prze	niu	tyl
ła	chęć	księ	brze

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 20-go lutego włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nadesłały dokładne rozwiązanie zadania konikowego.

Rozwiązanie łamigłówki zamieszczonej w nr. 5-ym:

J
b ó j
k a z a ń
l e n
z e f i r
ź ó ł k i e w
t e r m o p i l e
c z e ś n i k
a r c t a
a d m i r a ł
s e w e r y n
p i l ł a t i
b a s z a
o r k a n
S u b i a c o
t ł o m a c z
r o l i d a n
a s m o ł d o n a
ż y d o w i n
w ł o s z k i
p i o ł u n u
k a l w a k a d a
w e z u w i u s z

Józef Kościelski Miłosław. Straż w Poznaniu.

Dobre i dokładne rozwiązanie tak zadania jak też poszczególnych „wyrazów nadesłali i otrzymali nagrodę pp. Izabela Szmytkowska z Pniew, Jadwiga Badura z Roździenia (Górny Śląsk) i K. W. Pankowski z Berlina.



Czarna ręka.

Powieść amerykańska. Tłumaczyła z angielskiego **E. M.**

8

(Ciąg dalszy).

— Chwilowo jednak powinieneś pan być ostrożniejszym i nie wyjeżdżać bez straży.

Rosewelt rozśmiał się głośno.

— Czy i pan już z tej beczki zaczyna, — zawołał. — ile razy słyszę to samo! Nie, jeżeli mam się zamknąć, to muszę się zrzec stanowiska i godności prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mnie Maffiosy żadnej nie wyrządzą krzywdy i nie radzę też nikomu, — dodał energicznie, prostując się dumnie na siodle, — zaczynać ze mną.

* * *

Na ulicach mnóstwo się kręciło wojska. Cały Petersburg wyglądał jak jeden ogromny obóz. Kozacy na koniach i pieszo biegali tu i tam — na placach stały rzędami armaty i przed prywatnemi domami chodzili żołnierze z bronią w ręku. W niektórych częściach miasta były jeszcze znaki zaciętych utarczek; drzwi i mury nosiły ślady kul, okna były powybijane i sklepy zabarykadowane. Ale pomimo to przechadzało się mnóstwo osób po szerokich ulicach — koleje konne jeździły jak zwykle, a doróżkarze nie mieli powodu narzekania na brak jeżdżących. Wytworne towarzystwo przejeżdżało się i przechadzało po Newskim Prospekcie i wszystko tu jak zwykle wytworne było i świetne.

— Co słychać nowego? — zawołał pewien wysoki mężczyzna w eleganckiem ubraniu, wchodząc do garderoby jednej z największych restauracyi. Służba rzuciła się ku niemu na upragnioną zdobycz — jeden zdejmował mu kosztowne futro, drugi ściągał kalosze, trzeci podawał szczotkę i lusterko.

— Co tam ma być nowego, — odrzekł inny, równie wytworny młody człowiek, stojący przed zwierciadłem.

— W Petrowskim Ostrowiu wybuchły znów niepokoje. Obrzydliwe pospólstwo zaczyna ciągle kłótnie i bójki. Motłoch przeklęty. Święci gniewają się na nas!

— Co znowu, Mikołaju Iwanowiczu! Dotychczas byli kozacy zawsze w porę na miejscu.

— Obawiam się, że pan zbyt lekko traktujesz tę rzecz. Gdzie spojrzeć — wszędzie gazety i pisma, i co to pomaga, że chłop — dzięki Bogu, czytać nie umie! Studenci buntują lud! Ci są najgorsi!

— Niech krzyczą, Mikołaju! Skoro nahajka przemówi, ucichną wszyscy! Chodź, wypijemy łyk szampana!

— Za wiele honoru dla mnie.......

Służący otworzył na rozcież drzwi do sali, przepełnionej gośćmi i przygotował stolik dla radcy stanu Aleksandra Czyczykowa i kupca pierwszej gildy Mikołaja Iwanowicza. Obydwaj panowie zapalili papierosy, zamówili kilka butelek mrożonego szampana i słuchali skocznych dźwięków kapeli cygańskiej.

Na sali panowało wielkie ożywienie. Muzyka grała, goście rozmawiali głośno i śmiali się, a liczne zebrane tu damy półświata jaśniały pięknością i brylantami. Nikt nie zadawał sobie najmniejszego przymusu.

Teraz zbliżył się olbrzymiego wzrostu oficer dragonów do stołu Czyczykowa. Był tak już pijany, że się ledwie mógł utrzymać na nogach.

— Ah — i pan — tu, — — wybełkotał z trudnością, — to dobrze — ładnie — to bardzo dobrze — bardzo! My Rosyanie musimy — musimy — łączyć się — my Rosyanie — wierni poddani jego cesarskiej mości — ale — ale — kto — to jest? — dodał, wskazując łokciem kupca.

Radzca stanu wymienił jego nazwisko i Mikołaj Iwanowicz wstał, aby się grzecznie ukłonić.

Ale oficer machnął ręką.

— Nie podoba mi się — ten — mówił wolno — on wygląda jak — jak rewolucyonista. — — — Ah, bracie, — zwrócił się znów do Czyczykowa, — widziałeś ty — moich — moich ludzi?

— Czy masz na myśli dwa oddziały dragonów, stojących na ulicy?

— Tak! Zakomenderowałem poprzednio — stój — i — i wszedłem — tu na kieliszek wina i ha — ha — ha — głupcy muszą stać i czekać! Zdaje mi się — że — stoją tak już — cztery — cztery godziny! ha ha ha!

Zaledwie śmiech jego przebrzmiał, gdy na sali rozległ się huk straszliwy. Snop płomieni wzniósł się w górę i w mgnieniu oka była sala napełniona kawałami szkła i drzewa.

Krzyki i jęki zranionych były przerażające, a grozę położenia zwiększyło wtargnięcie żołnierzy i policyantów, którzy nie pytając o nic, siekli pałaszami wszystkich, którzy im w ręce wpadli. Oficer dragonów stał przez chwilę jak nieprzytomny — potem szybko wyjął rewolwer, i zanim Czyczykow słowo wyrzec zdołał, położył kupca trupem na miejscu.

Czyczykow schwycił się za głowę i krzyknął:

— Coś ty zrobił! Ten człowiek był niewinny!

— Chociaż! Niech tam! — odrzekł oficer obojętnie. — Kto nie nosi mundura — ten zawsze jest podejrzanym.

I podczas kiedy w około rozlegały się krzyki, przekleństwa, jęki płacze, wyjął dzielny oficer z najzimniejszą krwią wszystko, co się w kieszeniach zamordowanego znajdowało. Zegarek, pugilares i portmonetkę zabrał dla siebie. W pugilaresie znalazł obok sporej paczki banknotów dwa czerwone bilety.

— Patrzcie, — zawołał, — taki kramarz! Wszystko mieć musi, nawet bilety na koncert w teatrze Michałowskim! Kupił sobie aż dwa! Tem lepiej! Każdy z nas oszczędzi kilku rubli!

Po tych słowach rzucił jeden z biletów Czyczykowowi.

— Do widzenia bracie! Cieszę się, że cię dziś wieczorem na koncercie zobaczę!

— — — — — — — — — — — — — —

W porcie kołysał się na kotwicy yacht Wilsona, „Eagle.“ Sternik zwoływał właśnie chłopców, posługują-

cych na parowcu, ponieważ sir Wilson chciał się udać do miasta.

Wilson rozmawiał żywo z panem Rochs.

— Żałuję bardzo, — rzekł, — że pan nie możesz jechać ze mną do Paryża. To jedyne miasto dla takiego artysty, jak Artur! Zbierałby tam złoto i wawrzyny, a jakie dopiero miałby szczęście u kobiet! Szalałyby za nim!

Ale Rochs potrząsnął głową.

— Artur za młody jeszcze na to, — rzekł niechętnie. — Im później pozna kobiety, tem lepiej dla niego.

Wilson rozśmiał się.

— Masz pan słuszność, — zawołał, — ale mów co chcesz, mnie się zdaje, że on już w kimś zakochany!

Przenikliwe oczy Rochsa błysnęły dziko. Przez chwilę wpatrywał się w Wilsona tak, jak gdyby pragnął zajrzeć mu aż do głębi serca, lecz potem odwrócił się i rzekł z przymuszoną obojętnością:

— O tem przecież ani mowy być nie może! Gdzie, kiedy i w kim miałby się ten chłopiec zakochać. Pan wiesz, że on od trzech lat jest jak nieprzytomny, jak lunatyk........

— Albo jak zahypnotyzowany, — przerwał Wilson.

Rochs zadrżał i cofnął się mimowoli:

— Jakto? Hypnotyzowany?

— Tak, czy coś podobnego — nie jestem uczonym i nie wiem, jak to tam jest właściwie. Ale proszę mi teraz wybaczyć, panie Rochs — muszę iść do miasta. Założyłbym się, że mój przyjaciel Buttler czeka już na mnie w hotelu Divette. — Nie chcesz pan przynajmniej do Cherrbourga jechać z nami?

— Dziękuje panu, ale wolę zostać przy Arturze.

— Jak pan chcesz! Ja doprawdy jestem ostatnim, który wywiera przymus na swoich gości. Nie nudź się pan zanadto i dysponuj yachtem i moimi ludźmi, jak swoją własnością. Good bye. —

Sir Wilson zeszedł z schodków do łodzi i kazał się przewieść do miasta.

Buttler rzeczywiście czekał już na niego. W jednym z gościnnych pokoji hotelu Divette, siedział on przy kominku, palił krótką fajkę i popijał trochę portweinu. Nogi oparł wygodnie o gzyms kominka i zdawał się używać w całej pełni spokoju i wypoczynku.

— Przeczuwałem, że pan już tu jesteś, — zawołał nagle Wilson za nim i położył mu rękę na ramieniu.

Buttler wstał natychmiast.

— Witam cię, milordzie, — rzekł z największą uprzejmością. — Od kiedy znowu jesteś w Europie?

Wilson położył palec na ustach.

— Cicho, cicho, — zawołał, — zapomnij pan, proszę, o tem, że jestem lordem i parem i pamiętaj, że w podróży jestem tylko Wilsonem! Cieszę się bardzo, że zastósowałeś się pan do mego telegramu! Mam nadzieję, że uwolniłeś się na kilka dni i że zabawimy się tu doskonale. Nie śmiem już nawet myśleć o tem, ale byłbym szczęśliwym, gdybym cię mógł zabrać znowu raz do Paryża!

— Zobaczymy, co się da zrobić! Przedewszystkiem siadaj pan, wypij kieliszek wina i opowiadaj mi o twoich przygodach!

Buttler napełnił kieliszek winem i przysunął przyjacielowi krzesło do kominka.

Wilson podniósł kieliszek do światła, spojrzał na ciemnoczerwony płyn i wypił go duszkiem.

— Przygody? — powtórzył z uśmiechem. — Ach w dzisiejszych czasach nie ma już przygód na naszej małej ziemi. Od czasu kiedy para i elektryczność usunęły wszelkie odległości, jest wszędzie równo. Wszystko na jedno kopyto. Zdaje mi się, że w Picadilly więcej można przeżyć, niż w Tybecie albo na stepach Ameryki, a człowiek na pana stanowisku bywa w przeciągu tygodnia narażonym na większe niebezpieczeństwa, niż przeciętny globetrotter w całym roku.

Buttler zaprzeczył mu żywo.

— Nie trzeba urzędnika policyi, — rzekł, — porównywać z innymi. Zależy wszystko od talentu.......

— Od jakiego talentu?

— Widzisz pan, są ludzie, którzy mogą iść gdzie chcą, i którym się nic nadzwyczajnego nie wydarzy — innych natomiast zdawają się przygody formalnie ścigać.

— Ja należę do rzędu pierwszych. — Teraz, gdy byłem na Graciosie, groziło mi rzeczywiście niebezpieczeństwow, ale nie dłużej, jak sekundę! Potem byłem ocalony i wyprawa moja skończyła się jak wszystkie inne moje wyprawy dobrym podwieczorkiem.

— Ah, byłeś pan w niebezpieczeństwie życia? Musisz mi to opowiedzieć.

— Na inny raz. Najpierw chciałbym wiedzieć od czego zależy, czy pan pojedziesz ze mną do Paryża, czy nie!

Prezydent policyi uśmiechnął się.

— Masz pan wielką ochotę rzekł, — uzupełnić znajomości twoje w „ciemnym Paryżu,“ pod moją opieką!

— Nie, nie, wiem, że pan żartujesz tylko. Chciałbym jak najwięcej korzystać z towarzystwa pana, bo jeżeli kto komu winien wdzięczność, to ja panu. Bez pana nie byłbym ani lordem ani właścicielem zamku i yachtu -- leżałbym raczej od dawna już w grobowcu familijnym w Weighton-Hall, i byłbym.......

Buttler ujął jego rękę i uścisnął ją serdecznie.

— Daj pokój starym historyom, sir Arturze! Co uczyniłem wtenczas, było moim obowiązkiem i powinnością. Szkoda tylko, że uciekł nam.........

— Dzięki Bogu, że uciekł. Czy miałem mego wuja oddać do więzienia?

— — — — — — — — — — — — —

Tuż przy centralnem więzieniu w Nowym Yorku, przy osławionych „Tombs,“ znajduje się pewien „Saloon,“ którego zewnętrzne i wewnętrzne urządzenie nie różni się niczem od innych lokali tego rodzaju. Za szynkfasem stał olbrzymi kelner i fabrykował z bajeczną szybkością cocqtailsy, punche i inne gorące trunki. Okolica bardzo tu była ożywioną i drzwi lokalu nie zamykały się ani na chwilę. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili.

Drzwi boczne, zasłonięte portyerą, prowadziły do mniejszego pokoju, oznaczonego szyldem jako „Private Office.

Na dworze ciemno już było i latarnie już były na ulicach zapalone, gdy pewien policyant, wysoki i niezmiernie silnie zbudowany, wszedł do lokalu i zażądał szklankę toddy. Kelner podał mu ją i zauważył, że policyant wykonał lewą ręką dwa razy znak rogu.

Natychmiast więc rozpoczął z nim rozmowę.

— Ah, Mac Allan, — rzekł, podając mu rękę, — pokazałeś się znowu raz u nas? Gdzie przebywałeś dotąd? Miałeś pewnie ciężką służbę, co?

— Pytajcie wszystkich djabłów o to, — odpowiedział policyant z pozornym gniewem. — Pozwólcie mi przynajmniej wypić w spokoju szklankę toddy. Od czwartej rano nie miałem dziś jeszcze kropli wódki w ustach i nie siedziałem ani chwili. Jestem tak zmęczony, że ledwie stoję.

— Ależ człowieku, czemu mi tego dawno nie powiedzieliście? — zawołał kelner. — W tym pięknym lokalu nie znajdziecie wprawdzie ani wygodnej kanapy, ani bujanego krzesła, ale w sąsiednim pokoju jest szezląg, wystarczający nawet na waszą długość. Pryncypał mój nie będzie miał nic przeciwko temu.

Irlandczyk zdawał się wahać.

— Mam teraz dwie godziny wolne, — rzekł nareszcie, — i nie szkodziłoby mi nic, gdybym się trochę zdrzemnął. Thank yon, sir! Otwórzcie mi pokój!

— Drzwi nie są zamknięte. Idźcie.

Policyant wypił resztę swego toddy, rzucił ku największemu zdumieniu obecnych gości pieniądze na stół, i znikł w przyległym pokoju.

— Kto to jest? — rozpoczął badanie jakiś nizki, krępy mężczyzna o twarzy prawdziwego Yankesa. — Gentlemen, czy kto z nas widział w naszym wielkim i chwały pełnym Stanie New-York, aby policyant płacił za to, co pije? Jestem pewny, że to chory człowiek i że wnet umrze. Każdy człowiek ma przed śmiercią dziwne pomysły.

— Mylicie się, Mac Allan płaci zawsze.

— W takim razie jest on nadzwyczajnym wyjątkiem pomiędzy policyantami. Wszyscy nasi policyanci wolą brać niż dawać. Co do mnie, to możnaby wszystkich powywieszać.

Inni goście potwierdzili żywo słowa Yankesa i zapewnili, że żywią te same serdeczne uczucia i życzenia dla stróży bezpieczeństwa i porządku w Nowym-Yorku. Niektórzy z obecnych zaczęli płacić i zapraszać resztę gości na wódkę i rozmowa stała się wkrótce tak głośną, że można się było obawiać o spokojny sen policyanta w sąsiednim pokoju.

Mac Allan jednak nie myślał o spaniu. Siedział na bujanem krześle i rozmawiał żywo z kilku osobami, które bywały w rybackiej chacie nad Hudsonem. Teraz właśnie mówił ów młody człowiek, który wówczas opowiadał o ucieczce Torstbecka i tak jak wówczas tak i dziś leżało przed nim pudło z przyborami do czyszczenia butów. Wszyscy inni, mianowicie Capo, który wyglądał dziś zupełnie jak skromny broker z Wallstreet, słuchali uważnie.

— Podług mego więc zdania, — kończył młody Maffiosa, nie przyniesie nam ta rzecz żadnej korzyści. Przeciwnie — może nawet zaszkodzić.

— I narazić nas na niebezpieczeństwo, — dodał Capo z szyderczym uśmiechem.

— Do krocset! Żeby to był kto inny, miałby teraz już ostrze mego sztyletu pomiędzy żebrami! Czy ja się kiedykolwiek cofnąłem przed niebezpieczeństwem?

Młody człowiek mówił to w największem uniesieniu, a oczy jego błyszczały groźnie.

— Kto mi zarzuci brak odwagi? — wołał dalej, uderzając pięścią w stół. — Czy matka nasza, Czarna ręka, miała już kiedy powód uskarżania się na mnie?

Po tych słowach obejrzał się, jak gdyby żądał odpowiedzi. Lecz wszyscy milczeli — nikt nie śmiał się odezwać, zanim Capo nie przemówił.

Teraz wstał „Najwyższy“ i rzekł:

— Masz słuszność i jeżeli cię obraziłem, to dla tego tylko, aby cię wypróbować. Słuchajcie wszyscy uważnie! Czyn ten musi być spełniony! Zapewne — jesteśmy silni i wzbudzamy strach w naszych przeciwnikach, ale o to właśnie chodzi — nasza siła polega nietylko na naszej doskonałej organizacyi, lecz co ważniejsze, na strachu, jaki rząd ma przed nami. Cios, jaki nas spotkał w Paryżu, ujął nam trochę sławy — i musimy to powetować i dla tego musi on stać się ofiarą. W nim zwyciężymy wszystkich naszych wrogów! Amerykański detektiw zgubił naszych braci — cała Ameryka musi za to odpokutować!

Obecni nie zdawali się być jeszcze dostatecznie przekonanymi. Tu i owdzie dały się słyszeć szepty, wykrzyki niechęci, aż nareszcie jeden z odważniejszych poprosił o słowo i zupełnie coś innego zaproponował.

— Nie wystarczyłoby, — rzekł drżącym nieco głosem, — abyśmy Mac Olseya usunęli z drogi?

— Nie- — brzmiała krótka i stanowcza odpowiedź Capa.

Lecz i tym razem powstały szmery i objawy niezadowolenia, jednakże na znak „Najwyższego“ natychmiast głęboka zapanowała cisza. Capo włożył czapkę na głowę i wstał.

— Nie ma co debatować o naszym planie, — odezwał się uroczyście, — mam nakaz od naszego Mistrza!

Nikt mu na to nie odpowiedział. Na słowo „Mistrz,“ pochylili wszyscy pokornie głowy, jak przed jakąś niewidzialną, a nadludzką potęgą.

Mac Allan był pierwszy, który przemówił.

— Do stu djabłów, — krzyknął, — trzeba słuchać! Nie ma co gadać! Ale co do mnie, to wyznaję szczerze, że mam pewien wstręt przed „elektrycznem krzesłem“ i na szubienicę wcale nie jestem cięty!

Capo z pogardą spojrzał na niego.

— Czy myślisz, — rzekł, — że do spełnienia takiego czynu wzięlibyśmy takiego, jak ty, tchórza? Jesteś dosyć dobrym na rozmaite drobne przysługi, ale na tem kończy się twoja dzielność. Zresztą radzę ci, bądź ostrożnym — jedno słowo — jeden ruch nierozważny — jedno spojrzenie, które nam się nie podoba — a nie będziesz miał nawet czasu na przeżegnanie się i zmówienie pacierza!

Policyant zadrżał i spuścił oczy.

„Inny oddział naszego związku, — mówił Capo dalej, — będzie miała zaszczyt odnowienia świetności Maffii! Mój oddział nie wsławi się tem, niestety, Maffia będzie znów wielką i potężną, lecz ktoś inny zasłuży na sławę!

Młody Maffiosa, który mu poprzednio oponował, zerwał się teraz i krzyknął:

— Nie, nie mówcie tego na seryo. Czy myślicie doprawdy, że my się pozbędziemy dobrowolnie zaszczytu służenia naszej matce? Błagam was, powierzcie mnie tę sprawę, bo jeżeli nie, to wykonam wszystko na własną rękę.

Capo uśmiechnął się.

— Dobrze, zostaniesz na to wyznaczony, — rzekł z pewną życzliwością. — Jeżeli wypełnisz wszystko tak, jak powinieneś, będziesz awansował na naczelnika oddziału. Ale Mac Allan musi nam także pomódz!

Policyant zadrżał znowu. Capo zwrócił się do niego i rzekł ostro:

— Opuścisz tutaj twoją służbę i postarasz się o miejsce w Washingtonie. Tam otrzymasz nasze rozkazy. Nie zapomnij tylko o tem, co ci poprzednio powiedziałem. Maffia zna jednę karę, a tą jest — śmierć! Idź teraz! Nie potrzebuję cię już.

Olbrzymi policyant pochylił pokornie głowę i jak zbity pies wysunął się z pokoju.

— Nie spuszczajcie go z oczu, — rzekł Capo do pozostałych, — chociaż poleciłem już innym, aby nad nim czuwali. Oddalcie się wszyscy, lecz nie razem. Zawsze po dwóch lub trzech. Antonio ma tu jeszcze zostać.

Jeden po drugim wychodził z pokoju, żegnając się uroczyście z Capem i Antonim. Gdy się drzwi za ostatnim zamkły, pochylił się Capo i szeptał długo z „wybrańcem“ swoim.

— — — — — — — — — — — — —

Reverend Boas przeglądał papiery, które wyjął z tajnej szufladki swego biurka. Wyraz świątobliwej powagi i wewnętrznego zadowolenia, jaki zwykle twarz jego opromieniał, znikł zupełnie, poczciwy reverend był wystraszony i mocno skłopotany.

— Jestem skończonym głupcem, — mówił sobie w duszy, — że szpargałów tych jeszcze nie spaliłem. Mogą mi one co najwyżej zaszkodzić! Gdyby je tak raz wydobyto

na światło dzienne i nie w porę! Ja też na nie patrzeć nie mogę! Zawsze mnie coś w gardle boli, gdy je widzę.......

Podniósł paczkę papierów, składającą się przeważnie z wycinków z gazet i spojrzał na kominek, na którym jasny palił się ogień.

— Jedno poruszenie ręki, — szepnął, — i pozbędę się raz na zawsze tych wspomnień.

Szedł więc do kominka, lecz w połowie pokoju stanął znowu.

— Nie, zatrzymam je lepiej, — pomyślał.

Potem usiadł przy biurku i zabrał się do układania owych papierów. Nagle zapukano do drzwi. Boas wrzucił papiery do szufladki, nadał twarzy zwykły wyraz dobroduszności i pochylił się nad biblią, leżącą na płycie biurka.

— Proszę, — zawołał.

Służący jego Habakuk wsunął się przez wpółotwarte drzwi, zamknął je i stanął przy progu.

— Czego chcesz, mój kochany? — zapytał pastor łagodnie.

Habakuk ukłonił się nizko i odpowiedział pokornie:

— Przepraszam, że przerywam, ale chciałbym prosić o tytuł przyszłego kazania. Trzeba zawczasu posłać ogłoszenia do gazet.

— Właśnie pracuję nad tem! Nie uwierzysz, przyjacielu, jak trudnyym i pełnym odpowiedzialności jest mój urząd! Ach, czasem nie wiem doprawdy, jak wszystkiemu podołać! Ale Bóg jest łaskawym dla słabych i Jego to słowami przemawiać będę. Jestem tylko niegodnem narzędziem Jego łaski!

Habakuk złożył ręce jak gdyby był w kościele.

— Słuchaj więc i zapisz sobie, na jaki temat kazanie powiem. W drugim oddziale pierwszej epistoły Piotra, wiersz pierwszy jest napisano: „Odłóżcie wszelką złośliwość i wszelkie oszukaństwo i obłudę i zawiść i oszczerstwo.“ Ach, przyjacielu, jak często trzeba to powtarzać w tem mieście pełnem grzechu! W piśmie świętem czytamy, że „ludzie w Sodomie byli źli i grzeszyli przeciw Bogu. I myślę, że nie znalazłoby się między nimi dziesięciu sprawiedliwych.“

Habakuk słuchał słów tych z wielkiem nabożeństwem, a gdy pastor umilkł, chciał wyjść z pokoju. Ale gdy kładł rękę na klamkę, zatrzymał go jeszcze Boas i rzekł:

— Pamiętaj, aby agent fabryki fonografów z Columbii miał dobre miejsce, bo użyje kazania mego do fonografu. Zawarłem z nim kontrakt.

— Dobrze!

Drzwi zamkły się za starym sługą, a Boas znów się zabrał do swoich papierów.

— Ach, co tam, — rzekł w końcu. — Weighton dawno nie żyje — niech żyje czcigodny reverend Charles Boas!

— — — — — — — — — — — —

Marszałek hotelu pomógł trzem panom, którzy w jednym z najwytworniejszych salonów kolacyą jeść chcieli, w zestawieniu bardzo skomplikowanego menu. Wszystko było już ułożone, tylko co do szampana nie mogli się jeszcze porozumieć. Marszałek radził stanowczo do pieczystego Crement dose, i Perosini zgadzał się na to, lecz Wilson upierał się przy Venoe Cliquot, twierdząc, że to jest jedyny możliwy szampan. Ostatecznie zapytano o radę Buttlera, który przecież oświadczył, że szampana nie pije wcale, i że podług jego zdania istnieje jeden tylko możliwy trunek, to jest Portwein. Radził jednak, aby podano i Crement dose i Venoe Cliquot. Radę jego przyjęto jednogłośnie i tak zasiedli wszyscy trzej do stołu w najświetniejszych humorach.

— Mów pan co chcesz, — odezwał się Wilson do Buttlera, — cenię wysoko naszą starą, kochaną Anglią, ale gotować potrafią tylko Francuzi!

— Żałuję bardzo, że panu zaprzeczyć muszę! W całej Francyi nie dostaniesz porządnego kawała rostbeefu, a to przecież dla angielskiego żołądka największy specyał. A potem owe rozmaite sosy, jeden gorszy niż drugi. Ja żądam tylko dobrego mięsa i do tego sosu Vorcestershire.

Perosini śmiał się.

Nie chcę panów obrażać, — zawołał, — ale ja podzielam zdanie mego sławnego rodaka, który wolał Francuzów niż Anglików. Mówił on, że Francuzi mają jedną tylko religię i dziewięćdziesiąt i dziewięć sekt, a jeden tylko sos.

Wilsona bawił ten dowcip, lecz Buttler czuł się nieco urażonym i milcząc, wypił dwa kieliszki wina po sobie.

Perosini zauważył to. Starał się więc zwrócić rozmowę na inny temat.

— Jesteś nam pan jeszcze winnym opowiadania twej przygody na Graciosie, — rzekł do Wilsona. — Może zechcesz się teraz uiścić z długu.

— Jeżeli to panom przyjemność sprawi — chętnie. Ale dopiero przy deserze.

Po kolacyi, gdy po wypiciu kawy i likierów zapalili panowie papierosy, zaczął Wilson opowiadać o swej przygodzie:

— Zwiedziłem jaskinią na dnie krateru w Caldeira. Krajowcy twierdzą, że jaskinia ta stoi w połączeniu z jakąś bezdenną przepaścią podziemną. W każdym razie trzeba zejść w bardzo głęboką rozpadlinę. U góry zatykają przewodnicy żelazną tyczkę w ziemię, przywięzują do niej sznur, który trzeba trzymać mocno i opierając się nogami o przeciwległą ścianę, schodzi się wolno na dół. Komin, którym się wchodzi, jest na dole ogromny — tak obszerny, że go nawet dotąd jeszcze nie zbadano. Trzeba tu być bardzo ostrożnym, mianowicie, jeżeli inni turyści jeszcze schodzą, gdyż spadające z góry kamienie mogą tych, którzy są już na dole, jeżeli nie zabić, to w każdym razie niebezpiecznie zranić. Jedną z nadzwyczajności na dole jest tajemnicze jezioro, idąc zaś wzdłuż jego brzegu, dochodzi się do otworu w skale, z którego bucha para siarczana. Z daleka słychać głuchy szmer — tak tam wulkany pracują pod ziemią.

— A przygoda pana?

— Zaraz, zaraz, panie Perosini! Wybrałem się na tę wycieczkę z przewodnikiem i z jednym z moich znajomych. Wracając, był on już u góry, podczas kiedy ja szedłem za nim. W wysokości dwudziestu może metrów, gdy widziałem już nademną blask słońca, zaczęła się chwiać żelazna tyczka. W następnej chwili byłbym spadł na dół, lecz mój towarzysz, który był Amerykaninem, przytrzymał tyczkę, a tem samem sznur i mnie. Posiadał on rzeczywiście nadludzką siłę. Wyszedłem szczęśliwie z krateru i trzymałem tyczkę razem z nim tak długo, dopóki i przewodnik nie wrócił z podziemi.

— Bardzo to dziwne, — zawołał Buttler. — Jak mogła się tyczka zachwiać? Czy przewodnik nie umocnił jej należycie? Byłoby to z jego strony lekkomyślnością nie do darowania, bo przecież chodziło też i o jego życie!

— Pan jesteś niepoprawnym urzędnikiem policyi i widzisz wszędzie złoczyńców. Portugalczycy są niedbali i nieostrożni.

— Jak się nazywał Amerykanin, który pana ocalił? -- zapytał Perosini.

— Rochs Muzyk.

— Muzyk! — powtórzył Perosini z widocznem zajęciem.

— Tak! Bardzo miły, chociaż czasem trochę szorstki człowiek. Bawił on tam z siostrzeńcem, dla kuracyi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Rozczarowanie.

18 Powieść z spółczesnego haremu tureckiego.

(Ciąg dalszy.)

O tym czasie milczenie panowało w domu konającej. Kilku imamów na życzenie babki modliło się nieustannie. Muzułmanizm, niebiański pocieszyciel w śmiertelnej agonii, coraz więcej brał w posiadanie biedną, wojowniczą kobietę, powoli usypiającą snem wiecznym, bez obawy. I tak stało się, że nawet zabobony obu babek jej nie oburzały więcej tej dotychczas niewiernej istoty, która bez oporu pozwoliła sobie zawieszać amulety, nie sprzeciwiała się, gdy derwiszowie wypędzali z jej odzienia „złego ducha,“ lub gdy błogosławiono jej cienkie koszule z paryskiego magazynu w świątyni w Ejub, lub gdy wysełano je jeszcze dalej do Skutari, do „świętych płaczków“, których tchnienie dopóki są w stanie ekstatycznym, ma moc leczniczą.

W końcu października Melek straciła mowę i być może także bez przytomności spoczywała w głębokim, ciężkim śnie, będącym zdaniem lekarzy zwiastunem śmierci.

XLVII.

Dnia drugiego listopada Zeyneba, stróżująca właśnie przy łożu konającej siostry, odwróciwszy się nagle, ujrzała przerażona wynurzającą się z głębi pokoju w mroku tonącego zawualowaną postać i usłyszała wśród uroczystej ciszy miły, świeży głos, odmawiający pacierze. Zeyneba nie zauważyła poprzednio wchodzącej do pokoju młodej dziewczyny ze zapuszczonym wualem i pytała się teraz co ona tu robi, czemu stoi tak z koranem w ręku?... Lecz uderzyło ją zaraz, że ona odmawia modlitwę za umierających....

W Turcyi jest obyczajem, że do domu, w którym ktoś umiera, dziewczyny i kobiety z odnośnej dzielnicy przychodzą jedna po drugiej, by modlić się. Wchodzą jakby przysługiwało im to prawo bez wymienienia ,osłony — nieznane, ponure, złowróżące. Wnoszą z sobą zapowiedź blizkiej śmierci...

Zrozumiała to Melek, gdy rozwarły się jej oczy zamknięte od dłuższego czasu. Na pozór zrobiło jej się lepiej jak zwykle przed zgonem, nawet odzyskała poniekąd mowę, którą poczytywano za niepowrotną.

„Przybliżcie się...“ rzekła do nieznajomych. — Nie słyszę was tutaj dobrze. Nie sądźcie, że obawiam się. Zbliżcie się... czytajcie głośniej... abym nic z tego nie uroniła...

Potem chciała sama powtórzyć muzułmańskie wyznanie wiary, a złożywszy drobne rączki do modlitwy wyrzekła przepisane słowa: „Nie ma Boga prócz Boga jedynego i Muhamed jest jego wybrańcem“... Ale nim skończyła wyznanie to, które brzmiało tak cicho jak podmuch, biedne jej rączki opadły znowu na kołdrę. A młoda, zawualowana kobieta rozwarła znowu koran, by w dalszym ciągu czytać modlitwę.

Do późna w noc wchodziły pobożne kobiety bez szelestu jakby cienie i oddalały się, robiąc miejsce dla innych i tak modły żałobne nie ustawały ani na chwilę. Inne osoby zbliżały się na palcach i bez słowa schylały się nad konającą: najprzód matka, poczciwa osoba ale bez wpływu, następnie obie babki, które nie opanowały jeszcze swego rozpaczliwego bólu i, nie chcąc zdradzić się z nim, wydawały się jakby kamienie nieczułe. Potem przyszedł ojciec Mahmed-bey z twarzą namaszczoną bólem i może także wyrzutami. Kochał ją w gruncie rzeczy, lecz przez niezłomne stosowanie dawnych zwyczajów, przyczynił się do śmierci swej córki.

Wreszcie nadeszła drżąca panna Tardieu, dawna nauczycielka i wychowawczyni Meleki, którą w ostatnich dniach przywołano na życzenie umierającej. A ona zamknęła w agonii oczy i nie dawała już znaku życia, czasem tylko zadrżały jej ręce i usta zciągnęły się kurczowo.

XLVIII.

Około czwartej zrana, gdy Dżenana siedziała przy swej biednej kuzynce, modląca się kobieta, na którą przyszła kolej, podniosła głos i poczęła czytać z uniesieniem jakby odczuwając, że nadszedł moment przesilenia.

A Dżenana, trzymając nieustannie drobną, niemal przejrzystą rękę Meleki w swej dłoni, nie czuła prawie jak ręka ta ziembła, lecz raptem zerwała się na nogi z przerażenia, bo uderzono ją w barki lekko, dwukrotnie miarowo na znak przybycia... Ach! Co za okropne zjawisko! Weszło przed drzwi zawsze stojące otworem! Wysoka, stara kobieta ze szerokiemi, wychudzonemi barkami i zszarzałą twarzą. Nie rzekłszy słowa dała Dżenanie rozkaz swym znakiem: oddal się!...

Zapewne długo czekała w korytarzu i teraz w końcu, odgadując swym instynktem zawodowym, że przyszedł czas spełnienia powinności, wkroczyła i już miała wyciągnąć ramiona po swoją ofiarę, gdy...

— Nie! Nie! — zawołała Dżenana, całem ciałem zasłaniając umarłą. — Nie chcę abyście ją zabierali!...

— Ho! ho!... bez obawy — odparła kobieta, odsuwając Dżenanę na stronę. — Nie zrobię jej nic złego...

W wyrazie jej brzydkiej twarzy nie było nic groźnego, raczej cicha żałość a we wzięciu jej przebijało wielkie wyczerpanie. Ile to pięknych kwiatów, które w haremach padły pod kosą śmierci, zabrała już swemi silnemi ramionami ta kobieta, zwana „umywaczką zmarłych...“

Wzięła zmarłą na ramię jak chore dziecko i piękne, czerwonawe rozwiane włosy opadły na kościste ramię starej kobiety. Dwie jej pomocnice o jeszcze wstrętniejszej powierzchowności czekały na nią w przedsionku ze światłem. Dżenana i modląca się niewiasta poszły za niemi korytarzami do wschodów, któremi ta żałobna procesya zeszła na parter. Tam wniosły te kobiety swój ciężar do wielkiej sali o marmurowej posadzce, w której pośrodku znajdował się stół z białego drzewa, wanienka z ciepłą wodą i prześcieradło rozpostarte na trójnogu. W kącie stała trumna a staroświecki szal leżał na boku, owinięty wokoło laski — szal zwany walida, którym w domach zamożnych utulają zmarłych. Wszystko to już od kilku dni było przygotowane, bo w krajach muzułmańskich musi pogrzeb odbyć się jaknajprędzej.

Nieszczęsna Melek-Sadiha-Saadet zmarła licząc lat dwadzieścia i pół wskutek obawy, że po raz wtóry rzucą ją w ramiona nieznanego, obcego mężczyzny...

Gdy niewiasty złożyły trupa na stole, piękne włosy zwieszały się aż do ziemi. Nim rozpoczęły swoją smutną robotę, „umywaczka“ dała znak Dżenanie i modlącej się kobiecie, aby się oddaliły. Bez tego obie zabierały się do wyjścia, by poczekać u drzwi. Przyłączyła się do nich wkrótce Zeyneba, która tchnięta przeczuciem o zgonie swej drogiej siostry, zbiegła ze swej sypialni. Nie płakała, ale twarz jej była jeszcze bledszą niż zwykle a oczy jej sino podkute. Wszystkie trzy drżąc, stały bez słowa na miejscu, wyobrażając sobie co się dzieje wewnątrz. Gdy wszystko było skończone, ukazała się stara wysoka kobieta we drzwiach i rzekła do czekających:

— Chodźcie obejrzeć ją sobie!...

Nieszczęsne, zmarłe dziecko spoczywało w trumience wąskiej, całe zawinięte w biel z wyjątkiem twarzy odsłoniętej, na której krewni mieli złożyć pożegnalne pocałunki. Powieki i usta nie dały się zupełnie zamknąć, ale tak była młoda i zęby jej tak białe, że twarz cała była niewysłowienie piękna z istotnie dziecięcym wyrazem i pewnym bolesnym uśmiechem.

Teraz zbudzono wszystkich, aby zmarłą raz jeszcze pocałować: ojciec, matka, babki, zwykle tak pewni siebie wujowie, służące i niewolnice. Cały dom zajaśniał od świateł i rozbrzmiewał szybkiemi krokami, lamentami, westchnieniami i szlochaniem.

Gdy jedna z babek weszła — surowsza z dwojga, która była także babką Dżenany i uchodziła za niewzruszoną muzułmankę starego typu a jeszcze poprzedniego dnia tak przemawiała przeciwko nowemu prądowi, zabierającemu jej dwie wnuczki — gdy ta nieprzejednana matrona weszła, klęczała właśnie przy trumnie panna Tardieu, cicha wychowawczyni Meleki i obie te kobiety spojrzały na siebie przez sekundę w milczeniu: jedna piorunująco, druga pokornie.

— Wyjdź stąd! — rzekła babka po turecku, zionąc nienawiścią do nauczycielki — cóż masz tu jeszcze do roboty?.. Dzieło twe skończone... Nie słyszysz mnie... Wyjdź, mówię ci...

Lecz zgromiona, przygnębiona nauczycielka cofnęła się kilka kroków i spojrzała na starą Turczynkę tak łagodnie i boleśnie, że sędziwa matrona nagle uczuła litość dla niej. Może nareszcie pojęła, czego nie chciała tak długo zrozumieć, że nauczycielka w tem wszystkiem gra jedynie rolę nieodpowiedzialnego narzędzia na usługach czasu. Podała jej rękę, mówiąc: „Przebaczenia!“... Jakoż dwie te nieprzyjazne kobiety z płaczem padły sobie w objęcia przy trumnie ukochanej przez obie osoby.

Blady brzask wpadający przez szyby zwiastował kres listopadowej smutnej nocy. Pomnąc na przyrzeczenie dane Andrzejowi, Dżenana poszła do swego pokoju i przymocowała niebieską wstążeczkę na miejsce białej przy kratach okna.

XLIX.

Kamerdyner Andrzeja wcześnie z rana obejrzawszy to okno z uwagą, powrócił do Pery przejęty.

— Zdaje się, że panna Melek umarła —rzekł do swego pana, zbudziwszy go. — Przy oknie wisi niebieski znak.

Nieraz miał sposobność widywać i mówić z Meleką, chociaż tylko przez szparę drzwi, gdy spełniał niebezpieczne polecenia swego pana. Odsłaniała przed nim swoją ładną twarz mówiąc: „dziękuję!“ Dla niego była zawsze panną Melek“, bo wydawała mu się tak młodziutką.

W godzinę potem Andrzej odebrał wiadomość od Dżenany, że około południa zwłoki zmarłej zostaną przeniesione do świątyni, więc jeszcze przed jedenastą udał się do Kaffim-baszy. Włożył fez i przywdział ubiór człowieka z ludu, aby go nikt nie poznał. Chciał bowiem zbliżyć się o ile możności najwięcej do trumny i pobożnym obyczajem muzułmańskim oddać swej przyjaciółce ostatnią posługę. Wpierw czekał na uboczu na cmentarzu, leżącym naprzeciwko domu i niebawem ujrzał prostą trumnę, którą zgodnie ze zwyczajem tureckim wynieśli pierwsi lepsi ludzie. Szal „walidy“ w zielone i czerwone pasy osłaniał trumnę zupełnie a na wierzchu położono mały biały welon, aby oznaczyć, że trumna kryje zwłoki kobiety. Jednakże zdumiewającą i niezwykłą niespodzianką był bukiet ponsowych róż uczepiony u szala.

W Turcyi chowają zmarłych z wielkim pospiechem, nie wysełając nawet wcale zaproszeń na pogrzeb. Przychodzi kto chce: krewni, przyjaciele, którzy wypadkiem dowiedzieli się o śmierci, sąsiedzi i służba. Kobiety nigdy nie idą za pogrzebem i nie ma zgóry oznaczonych osób do niesienia trumny; przechodnie spełniają tę służbę, zmieniając się w pewnych odstępach.

Trumna Meleki przechodziła często z jednych barek na drugie, bo wielu przechodzących cisnęło się do spełnienia tego zbożnego obyczaju i niosło przez kilka minut zwłoki całkiem sobie nieznanej osoby.

Na przedzie postępowali dwaj kapłani w zielonych turbanach i około stu mężczyzn z różnych sfer postępowało za nimi, niemniej przybyło kilku starych derwiszów w czapkach magików i śpiewali psalmy po drodze głośno, żałośnie, podobnie jak wilki we wieczory zimowe w lasach.

Pochód udał się do staroświeckiej świątyni, położonej daleko od zamieszkałych domów. Złożono tam trumnę na marmurowych płytach w dziedzińcu i imanowie nucili nader miłemi głosami modlitwy za umarłych. Po zaledwie dziesięciu minutach, pochód ruszył dalej, na dół ku zatoce, aby w łodziach przeprawić się na drugi brzeg, gdzie znajdują się rozległe cmentarze Ejub.

Zbliżając się do Złotego Rogu pochód zwolnił kroku, ponieważ wielu chciało w nim wziąść udział. Andrzej, który tak długo ociągał się, zbliżył się teraz, dotknął ręką stary szal „walidy,“ i wsunąwszy ramię poczuł trumnę ze zwłokami swej przyjaciółki na swych barkach, ale tylko na chwilę, bo już ktoś inny odebrał mu cmentarny ciężar. Zatrzymał się a potem zaraz oddalił się całkiem, z obawy, aby nie podpadło, że nieustannie towarzyszy pogrzebowi.

L.

W tydzień potem Dżenana i Zeyneba zawezwały Andrzeja do małego domku w Sułtan-Selim. Obie były zawualowane czarno, z twarzami zupełnie niewidzialnemi pod szczelnemi osłonami. Nie mówiono prawie o niczem innem jak o tej, która odeszła albo — jak się wyrażały — wyzwoliła się. Andrzej dowiedział się wszystkich szczegółów dotyczących końca biednej Meleki. Jak się mu zdawało, opowiadające nie uroniły przy tem ani łzy; obie były bardzo poważnie nastrojone, ale uspokojone. U Zeyneby było to istotnie zrozumiałem, bo sama zaledwie jeszcze zaliczała się do żyjących, ale spokój Dżenany zastanowił go.

Gdy rozmowa urwała się, Andrzej zwrócił się w jaknajlepszej intencyi do Dżenany szczerze i serdecznie:

— W zeszłym tygodniu miałem sposobność w Yildis poznać Hamdi-bey‘a. Bardzo ujmujący człowiek, bardzo przystojny i elegancki.

Ale Dżenana przerwała mu żywo, po raz pierwszy wpadając w gniew:

— Jeźli nie masz nic przeciw temu, nie będziemy nigdy więcej mówić o tym człowieku.

Od Zeyneby dowiedział się, że familia śmiercią Meleki głęboko wstrząśnięta chwilowo przynajmniej nie myślała o swataniu Dżenany.

(Ciąg dalszy nastąpi.)